OPIEKUN SPOŁECZNY



MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM OPIEKI SPOŁECZNEJ

WYDAWCA:

ZARZĄD MIEJSKI M. ST. WARSZAWY – RESORT ZDROWIA I OPIEKI SPOŁECZNEJ – WYDZIAŁ OPIEKI SPOŁECZNEJ.

WYDAWANY Z ZASIŁKU MINISTERSTWA PRACY I OPIEKI SPOŁECZNEJ

Nr 5-6 SIERPIEŃ - WRZESIEŃ – 1946 ROK I (V)

TREŚĆ:

Adres redakcji i administracji:

WARSZAWA - RATUSZ, AL. JEROZOLIMSKIE nr. 1, POK. 333

Prenumerata roczna 100 zł. **Cena egzemplarza 10 zł.**

OPIEKUN SPOŁECZNY

MIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM OPIEKI SPOŁECZNEJ

NR 5—6 SIERPIEŃ - WRZESIEŃ — 1946 ROK I (V)

JÓZEF WASOWSKI

Człowiek wielkiej miary

KILKA SŁÓW O JANUSZU KORCZAKU

Kiedy czterdzieści lat temu ukazała się powieść Janusza Korczaka „Dziecko salonu", nie wiedziano jeszcze, kim stać się może autor tej powieści, jak się powiększy duchem i sercem, jaką rolę odegra w świecie tego Dobra, które najlepsi niosą społeczeństwu. Nie wiedziano, nie przypuszczano, że ten młody literat obierze drogę prawdziwie apostolską, wyznaczy sobie zadanie misjonarza sprawy najważniejszej z ważnych: zadanie obrony dziecka, opieki nad ciałem i duszą dziecka.

Jako autor „Dziecka salonu", tylko „zaznaczył swój gniew", jak to o swych antymieszczańskich atakach wyraził się Baudelaire. „Gniewał się" na obłudę, na maskaradę w ludzkiej menażerii, na kamienne sumienie burżuja, na opasły sybarytyzm, na kontrast pomiędzy dosytem, wygodą, rozpasaniem, a niewymowną niedolą ogromnej większości. Dało się już w autorze tej powieści wyczuć wrażliwe sumienie dobrego człowieka, który nie zaznaje spokoju na myśl o niezawinionym cierpieniu upośledzonych, biednych, uciskanych. Lecz była to na razie tylko jakby rewolucyjna drwina, gest pogardy pod adresem możnych tego świata, śmiech satyry.

Korczak zwrócił wówczas na siebie uwagę również, jako autor felietonów zamieszczanych w warszawskim tygodniku humorystycznym „Kolce". Podpisywał je pseudonimem „Hen. Ryk". (Nazywał się Henryk Goldszmidt). Niektóre z tych feljetonów były tylko zabawne, niektóre zaś miały sens głębszy. Pamiętam dobrze jeden z tych

ostatnich. Feljeton — o cyrkowym błaźnie, który rozśmieszał publiczność nie cyrkowymi „kawałami“, nie sztuczkami żadnymi, ale tylko wyłącznie własnym śmiechem. Oto zjawia się na arenie, stoi dłuższą chwilę, patrzy na publiczność i uśmiecha się. Nic nie mówi tylko się uśmiecha. Publiczność czeka na jakiś dowcip, na jakąś zabawę. Błazen przechodzi z uśmiechu w uśmiech. Zrazu powściągliwy, dyskretny. Już tu i ówdzie — w tłumie — oddźwięk, ten i ów się śmieje. Błazen potęguje siłę śmiechu. Zaczyna tym śmiechem porywać coraz bardziej rozbawioną publiczność. Błazen dostaje ataku śmiechu, krzyczy śmiechem. W pewnej chwili pada na ziemię, trzyma się za brzuch, zanosi się od śmiechu, szaleje. Tłum cały — ryczy rozśmieszony. I wtedy błazen zrywa się na równe nogi, śmiech przerywa gwałtownie i patrzy na publiczność z najwyższą powagą, z tragicznym wyrazem twarzy. Tłum jest zdziwiony, zdezorientowany, fala śmiechu opada, robi się cicho. I w ciszy już zupełnej padają te słowa błazna:

— „A może urodziłem się na to, żeby być Napoleonem I-ym“.

W tym obrazku, jak i w szeregu innych niepokoiła, męczyła Korczaka myśl o wypaczonym życiu człowieka, milionów ludzi, którzy mogliby być czymś innym. Mogliby, gdyby nie sto tych przyczyn, jakie niszczą w człowieku jego najlepsze możliwości.

Oto to — cała szlachetność, cała wzniosłość działalności Korczaka płynęła z tej wiary: w najlepsze możliwości, tkwiące w człowieku, a wypaczane i niszczone przez złe wychowanie w domu i w szkole, przez złowrogie wpływy, przez pogwałcenie duszy ludzkiej, przez zatruwanie myśli, przez warunki materialne, które ludziom nie pozwalają rozwijać się normalnie.

Stąd — w młodości Korczaka — jego głęboka sympatia dla różnego rodzaju wykolejeńców. Pełno ich było w jego mieszkaniu, które stało się jakimś domem zajezdnym i domem noclegowym. Korczak był jakby wyzwolony z poczucia własności. To też jego goście czuli się tam — dosłownie — jak u siebie w domu, robili, co chcieli i zabierali co chcieli. Przezacna matka Korczaka chciała nieraz to i owo uratować — nie dla siebie, dla syna. Nie udawało się. Słowa Henryka: „Bo on przecież nie ma skarpetek“ albo „nie ma butów“, „nie ma tego lub owego“, przesądzało sprawę. Było tam tak, jak w sztuce Galsworthy‘ego „Gołębie serce“. Nie była to jeszcze działalność społeczna Korczaka. Nie była to też żadna filantropia. Poprostu — nie-

pohamowane współczucie dla biedaków, łazików, byłych więźniów, również dla życiowych niedołęgów. W przekonaniu, że to zawsze ofiary krzywdy społecznej. Że mogliby być czymś innym, w innych warunkach. Ileż tego współczucia w jego książce „Dzieci ulicy", pierwszej o dzieciach, w której już dawała o sobie znać miłość dla dziecka, później miłość bezgraniczna, której tak wzruszającym dokumentem jest jego książka pt.: „Jak kochać dziecko", albo inne pt.: „Józki, Jaśki i Franki" oraz „Mośki, Joski i Srule".

Wiara w dobre i najlepsze możliwości, tkwiące w człowieku prowadzi go do zajęcia się dzieckiem, dzieckiem nade wszystko. Tu upatrywał — przemianę i odnowę moralną życia ludzkiego. W nowym wychowaniu dziecka. W reformie wychowania najdalej idącej pod znakiem wolności, nieskrępowanego rozwoju indywidualności dziecka.

Korczak był wielkim obserwatorem. Przypatrywał się dziecku, wsłuchiwał się w dziecko. I rozumiał je cudownie. Stworzył niezapomniany „Dom Sierot", instytucję nie tylko najszlachetniejszą ze szlachetnych, ale instytucję głęboko mądrą, celową, wzorową. Taką, w której dziecku okazuje się nietylko opiekę, nietylko miłość, ale i szacunek. Tak — szacunek. Poszanowanie osobowości dziecka. Samorząd dziecięcy w jego „Domu Sierot" dawał wyniki wspaniałe. Była to miniatura społeczeństwa, w którym nie ma konfliktu pomiędzy jednostką a zbiorowością, w którym wszystko odbywało się w duchu dobra jednostki i dobra ogółu. Było to niezwykłej wagi pedagogiczne doświadczenie. Nie mamy, niestety, w literaturze pedagogicznej dzieła, któreby dobrze i w sposób wyczerpujący zademonstrowało pracę, życie, zdobycze tego „Domu Sierot". Może ktoś w przyszłości podejmie się tego zadania. Imię Korczaka stanęłoby obok imienia Pestalozziego, obok największych dobroczyńców ludzkości.

Zginął razem ze swymi ukochanymi dziećmi. Nie chciał się z nimi rozstać. Szedł w śmiertelnym korowodzie, pędzony przez zbrodniarzy niemieckich do wagonów zagłady. Korczak wchodzący do wagonu z dzieckiem na ręku . . . Korczak zamordowany . . . Nie ma słów w języku ludzkim na określenie tej zbrodni straszliwej.

To, co tu napisałem, jakże to drobny, jakże nikły przyczynek do charakterystyki wyjątkowej postaci Korczaka. Jest coś bardzo nieprawidłowego w tym, że nie mamy jeszcze poważnej monografii o człowieku tak wielkiej miary. Nie można wątpić, że ktoś wypełni tę lukę.

MGR. STEFAN ZGRZEMBSKI

Profesor Henryk Gnoiński

W dniu 19 sierpnia 1946 roku zmarł Dr. Henryk Gnoiński, wybitny społecznik, serdeczny przyjaciel i współpracownik kierowników Wydziału Opieki Społecznej Zarządu Miejskiego jeszcze wówczas, gdy Warszawa płonęła, a tuż obok, w sąsiedztwie placówek niemieckich opracowywano wytyczne przyszłej miejskiej opieki społecznej. Zmarły Profesor służył nam swoją osobą, radą i pomocą i nad wyraz cennymi wskazówkami, udzielonymi bezpośrednio, lub w czasie prowadzonych ówcześnie tajnych wykładów, współdziałał następnie z Wydziałem w okresie tworzenia i prowadzenia Kursu dla Pracowników Opieki Społecznej.

Niepodobna w krótkiej notatce uzmysłowić w pełni, kim wówczas był dla nas Profesor — wiemy jednak z pewnością to, że bez Niego nie potrafilibyśmy uzyskać tych wszystkich osiągnięć, jakie w tak krótkim czasie stały się naszym udziałem.

Niesłychanie ciężko jest napisać o Doktorze Gnoińskim, jako o człowieku, który odszedł spośród nas. Tym cięższej pisać jest wówczas, gdy samemu znajdowało się w zasięgu wpływów jednostki tak niezwykłej, jaką był Zmarły Profesor.

Nie podejmuję się wyliczyć wszystkich zasług Profesora, nie mam też tego zamiaru: sądzę, że jest to praca, przekraczająca możliwości jednego człowieka. Profesor był zbyt wszechstronną i zbyt głęboką indywidualnością, aby kto inny mógł Go zastąpić całkowicie.

Pragnieniem moim jest tylko przyczynić się choć w drobnej części do przypomnienia pewnego fragmentu Jego działalności, zapoznania z nim szerszego ogółu i złożenia tą drogą hołdu wielkości Zmarłego. Z natury rzeczy to, co mogę o Profesorze powiedzieć, jest przepojone pierwiastkiem subiektywnym, ale na to nie ma już rady. W obcowaniu bezpośrednim był On człowiekiem tak urzekającym, tak ogarniającym swoim wpływem, że oprzeć się Mu było dla jednostki czującej i myślącej po prostu niepodobieństwem.

Nieprzeciętnej kultury, głębokiej niezwykle inteligencji — łączył w sobie ponadto wręcz wytworność stosunku do człowieka. Nie było, nie mogło być sprawy dla kogoś istotnej, któraby Jego nie obeszła i w której nie próbowałby interweniować na korzyść zainte-

resowanego. A przy tym interwencja ta miała zawsze charakter tak bezpretensjonalny i tak ujmujący, że nawet w przypadku nieudania się musiała dlań zjednać każdego.

O sobie, o własnej korzyści, o tym, co Mu się najsłuszniej zresztą należało, nie myślał nigdy. Najlżejsza wzmianka o tym wprawiała Go w zażenowanie. A był zawsze na usługi wszystkich. Nie bacząc na swe wysokie stanowisko i szczebel społeczny — sam potrafił się zaofiarować tam, gdzie tylko sądził, że Jego słowo może się przydać, że choć w niewielkiej mierze może przyczynić się do uaktywnienia postępu, do prawidłowego pojmowania życia, świata, a przede wszystkim człowieka. Niezależnie bowiem od ogromu rzetelnej, sumiennej wiedzy o człowieku, Doktór Gnoiński miał dla człowieka zupełnie niezwykłe uczucie. Zawsze potrafił nawet w najbardziej wątpliwym przypadku wydobyć i ujawnić cechy pozytywne i na nich oprzeć nie tylko własną wiarę w humanitarność ludzką, ale i swe otoczenie tą wiarą przepoić. Najdalszy od jakichkolwiek innych klasyfikacji człowieka, niż na podstawie jego osobistych wartości, łączył swą wiedzę z umiłowaniem człowieka w walce przeciwko wszelkim prądom, czy teoriom, mającym na celu poniżenie jednych ludzi w stosunku do drugich, czy wręcz usprawiedliwienie tego powrotu niewolnictwa i masowych mordów, jakie przyniosła ze sobą ubiegła wojna. A walkę taką potrafił prowadzić nawet pod bokiem żandarmerii niemieckiej, nawet wśród szalejącego terroru okupanta po Powstaniu Warszawskim — pod Warszawą.

Tam właśnie, na Okęciu, w barakach, w których mieścił się Szpital Polskiego Czerwonego Krzyża Nr. 2 (przedtem Powstańczy Punkt Sanitarny, ewakuowany z piwnic domu przy ulicy Łowickiej 54) — dane mi było poznać Doktora Gnoińskiego. Było to w końcu września 1944 roku. A w miesiąc później . . . Profesor wykładał już higienę rozrodu ludzkiego i naukę o hormonach na tajnym kursie sanitarno-społecznym, zorganizowanym w najbardziej chyba nieodpowiednich warunkach, jakie można było sobie wyobrazić. Nawprost posterunku żandarmerii, w pobliżu miejsca pobytu jednostki SS, o dwie minuty drogi od siedziby Gestapo, w gmachu, niemal codziennie sprawdzanym przez Niemców, czy nie przebywają tam czasem „Polnische Banditen“ — w zupełnie niedostatecznie zakonspirowanej izbie wykładowej, Profesor Gnoiński wyjaśniał dwudziestopięcioosobowej

grupce młodzieży tajemnice tworzenia się i układu organizmu ludzkiego i dzieje jego rozwoju.

Nie sposób zapomnieć tych pierwszych słów Jego, gdy zjawił się w przepełnionym ponad miarę pokoiku, spojrzał na skupione twarze słuchaczy i już w jego wzroku czytać można było to serdeczne zadowolenie, że znowu jest wśród Młodzieży, że znowu może uczyć, wyjaśniać, radzić i pomagać.

„Czuję się zaszczycony, że zwrócono się do mnie o współudział w tym zespole wykładowców, którzy, nie zwracając uwagi na przebytą gehennę warszawską, natychmiast przystąpili do zorganizowanej ekspansji myśli i wiedzy ludzkiej. Czuję się zaszczycony, że mogę pracować tu w tej właśnie chwili dla dobra Polski i jej przyszłości. Z nieopisaną radością widzę, że młodzieży naszej nic pokonać nie zdołało, skoro w takich warunkach i po takich przejściach potrafiła się znowu zorganizować i utworzyć tu tajny kurs naukowy. Wierzę, naprawdę głęboko wierzę, że tacy ludzie muszą ostatecznie zwyciężyć wszelkie przeciwności". Nie zamierzam analizować tych słów i zastanawiać się, które z nich podyktowane były kurtuazją, a które płynęły z pełni przeświadczenia — ale jedno stwierdzić trzeba: słowa te są wynikiem zupełnego pominięcia własnej osoby na rzecz ostatecznego celu. Słowa te, im mniej zawierają treści, bezpośrednio związanych z wypowiadającym je, tym właśnie wyżej stawiają Go w hierarchii ofiarności pracy dla Polski.

Minęło od tej chwili piętnaście tygodni. Nadszedł wielki moment uwolnienia od koszmaru okupacji niemieckiej — zniknęła żandarmeria, gestapo i SS, ale równocześnie na odcinkach dróg podwarszawskich zapanował chaos. Wszyscy szli do Warszawy, opuszczali swe dotychczasowe placówki i mieszkania, byle tylko znów znaleźć się w Stolicy. Zdawało się, że Profesora pochłoną ważniejsze sprawy i że już go na Okęciu nie zobaczymy . . . Aż nagle, pewnego dnia wieczorem, przybywa niespodziewanie: „Jutro egzaminuję, proszę zawiadomić słuchaczów". I do końca tych przedziwnych wydarzeń towarzyszył nam Doktór Gnoiński, podpisując, jako Delegat Polskiego Czerwonego Krzyża nielicznej grupce absolwentów świadectwa ukończenia kursu.

A potem, po roku . . . jeszcze jedna prośba i jeszcze jeden najżyczliwy uśmiech. „Ależ oczywiście, obejmę wykłady, sam chciałem zaproponować, jak tylko się dowiedziałem, że organizujecie znów

podobny kurs". I tak, w jednej kawiarni warszawskiej doszło do niezwykłego „zaangażowania" Profesora na wykładowcę Kursu dla Pracowników Społecznych, organizowanego przy Zarządzie miasta Warszawy.

Nigdy nie znudzony, zawsze chętny do pracy, do wyjaśnień, jeszcze raz poprowadził młodzież ku Prawdzie. Jeszcze raz . . . ostatni!

IRENA SENDLEROWA

Bijemy na alarm

To, co się dzieje dziś w Warszawie, jest bezwątpienia godne podziwu. Nie wszystkiemu jednak można się dziwić z tych samych przyczyn. Ogrom zniszczenia budzi zdumienie z powodu bestialstwa tych, co je spowodowali, natomiast już uzyskane wyniki w odbudowie miasta budzą niekłamany podziw dla tych, którzy je osiągnęli.

Poza zniszczeniem i odbudową istnieje jeszcze jedna sprawa, która również głęboko zdumiewa i to właśnie dlatego, że wymyka się uwadze, w związku z czym waga jej zostaje niedoceniona, a samo zagadnienie — zaniedbane. Poza tym zdumiewa fakt, że tyle się o tej sprawie mówi, a tak mało się robi, że według tego, co się słyszy, nie ma człowieka, któryby nie rozumiał doniosłości sprawy, a według tego, co się widzi — wydaję się, że absolutnie nikomu nie zależy na właściwym zorganizowaniu rozwiązania tego palącego wręcz problemu.

Problemem tym, któremu tu mam zamiar poświęcić kilka słów więcej, jest tzw. opieka otwarta nad dzieckiem, czyli innymi słowy opieka nad dzieckiem w rodzinie, albo jeszcze inaczej — opieka pozazakładowa. Do pewnego czasu sprawa ta przedstawiała się źle, obecnie zaś przedstawia się katastrofalnie. Nie jest to wyłącznie problem Warszawy, jakkolwiek niewątpliwie w Warszawie występuje on ze szczególnym nasileniem, wobec wręcz potwornych warunków życia: mieszkania, odzieży i żywności, a także i nauki.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w polskich warunkach powojennych cudów zdziałać niepodobna, niemniej jednak nawet w takich warunkach niepodobna zostawić sprawy tak, jak ona obecnie wygląda.

Pomyślmy chwilę rozsądnie: najbardziej oficjalne dane, zawarte w Miesięczniku Statystycznym m. st. Warszawy wykazują, że w stosunku do okresu przedwojennego koszty utrzymania rodziny pracowniczej wzrosły 113-krotnie, zaś koszty wyżywienia wykazują jeszcze znaczniejszy wzrost. Przetłumaczywszy to na język dostępniejszy, dziś przydzielana pomoc dla podopiecznych w opiece otwartej odpowiada właściwie 0. Oczywiście o żadnych kompensacyjnych przydziałach nie może tu być mowy, bo nam idzie przede wszystkim o niepracujących, ściślej: niemogących pracować.

A jednak przecież ci ludzie żyją, a przynajmniej chcą żyć, a władze prawa publicznego, po wyczerpaniu wszystkich środków (przede wszystkim pozwanie rodziny do świadczeń alimentarnych) — mają obowiązek zająć się nimi. Właśnie obowiązkiem państwa jest niedopuścić do śmierci swego obywatela z powodu braku środków utrzymania.

Nie dziwimy się temu zupełnie, że cały szereg osób, od których zależy rozdział funduszów na opiekę społeczną nie widziało nawet części tych przypadków, które całkowicie usprawiedliwiają nasze wołanie na alarm. Ich zadania są inne i nie pozwalają im na czołganie się po norach zburzonej Starówki, czy prześlizgiwanie się pomiędzy zwałami gruzu, zalegającego pożydowską dzielnicę, w której jednak. . . mieszkają (?) ludzie. To jest zadaniem opiekunki społecznej, które spełnia ona z podziwu godnym heroizmem. Ale niemniej podziwu godnym jest ten zupełnie niezrozumiały brak zaufania do nas, jako Wydziału Opieki Społecznej, i pomijanie całkowitym milczeniem i obojętnością tych wszystkich wypadków, które muszą być we właściwej mierze respektowane, a o których mówi każde sprawozdanie budżetowe Wydziału, każdy niemal wniosek, każde przedłożenie.

Nie możemy tego inaczej traktować, niż jako brak zaufania, bo nie posądzamy nikogo ani o niedbalstwo w zapoznawaniu się z naszymi pismami, ani o brak zainteresowania się niewątpliwie najpoważniejszym dziś problemem w Polsce, jakim jest sprawa dziecka. Jest to niemal naczelny problem polityki zdrowia, polityki populacyjnej i polityki opiekuńczej i jeden z najpoważniejszych problemów polityki oświatowej. Nie posądzamy więc nikogo, poza osobnikami aspołecznymi, o lekceważenie tego problemu, ponieważ wiemy, że byłoby to zbrodnią wobec narodu i państwa. A zatem: albo brak zaufania, albo niedostatecznie mocne przemawianie z naszej strony, co

powoduje może niedostateczne zrozumienie całej wagi sprawy. Uwzględniając i tę ewentualność przechodzimy teraz więc do pełnej ofensywy w ujawnieniu katastrofalności tego stanu.

Nie zamierzam być gołosłowna, wywody moje popierają liczby, do których, jak mi się zdawało, komentarze są zbyteczne — widzę jednak, że się omyliłam.

Ogólna liczba dzieci i młodzieży, pozostająca w ewidencji Wydziału Opieki, wymagających pomocy społecznej wynosiła na m-c kwiecień 1946 r. 32230 osób. Przypominamy tu raz jeszcze, że mowa tu tylko o dzieciach, wymagających tzw. opieki otwartej i pozostającej w ewidencji referatu Współdziałania Społecznego, a nie Opieki Zamkniętej nad Dziećmi.

Z ogólnej liczby 32230 dzieci było:

od 0 do 3 lat . .	4461	z tego w żłobkach . .	218	(4,9%)
„ 3 „ 7 „ . .	4983	„ „ przedszkolach	1224	(25,7%)
„ 7 „ 14 „ . .	16251	„ „ szkoł. powsz.	11546	(71%)
„ 14 „ 18 „ . .	6171	„ „ śred. i zawod.	3479	(56,3%)
wyżej 18 „ . . .	364	„ „ w ogóle . .	364	(100%)

Jak widać z podanego zestawienia, stosunkowo najbardziej zaniedbana jest najmłodsza kategoria podopiecznych. Zachodzi pytanie, co się dzieje z tymi dziećmi, skoro pomocy trzeba im udzielić, a nikt nie ma na to środków? Odpowiedź, obawiamy się, jest tu jedna — dzieci te po prostu wymierają, a w najlepszym razie przysposabiają się do kategorii przedwczesnych chroników.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że Polska zawsze przodowała w tym smutnym wyścigu wymieralności niemowląt. Według statystyki, przytoczonej przez doktora Sroczyńskiego w 3 — 4 numerze „Opiekuna Społecznego", „ustępowaliśmy" w roku 1928 pod tym względem jedynie Rumunii (20,9 na 100 urodzeń) i Węgrom (18 na 100), „zdobywając" trzecie miejsce z liczbą 15,1 a więc blisko 2 razy więcej niż Niemcy w tymże okresie (ponad 8). Dla porównania przytaczamy równocześnie dane za okres 1930-1932 dla zobrazowania maksymalnych możliwości i osiągnięć w innych krajach na tym polu. Cytujemy za „Małym Rocznikiem Statystycznym" z roku 1939, (str. 50, tabl. 14, „Zgony w niektórych krajach według wieku"). Jakkolwiek omawiana tablica podaje interesujące liczby dla obszerniejszej grupy wieku (0-4), niemniej jednak wnioski są druzgocące. I tak np.

dla Holandii odpowiedni wskaźnik wynosi — 1,86 na 100!, w Australii (lata 1932-1934) — 1,79 a u nas nie udało się w żadnym roku przedwojennym zejść poniżej 13 zgonów na 100. O okresie wojennym oczywiście mówić nie będziemy, warto jednak przytoczyć liczby dla Warszawy z marca 1946 r. (wg. Miesięcznika Statystycznego Zarz. Miejskiego). Urodzeń żywych było w tym miesiącu 392, zgonów niemowląt poniżej 1 roku życia 96, a zatem 24,7 zgonów niemowląt na 100 urodzeń żywych, jest to jednak jeszcze niczym wobec sierpnia 1945 roku, gdy na 405 urodzeń żywych było 161 zgonów niemowląt, a więc prawie dokładnie 40 na 100. Możemy bez obawy błędu powiedzieć, jakkolwiek nieznane są nam odnośne liczby na tenże okres w innych krajach, że tego rekordu żadne inne państwo chyba nie pobije. I w tych warunkach, gdy dzięki niesłychanie intensywnej pracy Wydziału Opieki Społecznej, przy niezmiernie wydajnej współpracy z Ministerstwem Zdrowia i Ministerstwem Pracy i Opieki Społecznej, udało się tę liczbę obniżyć jednak w maju poniżej 13 zgonów niemowląt na 100 urodzonych żywych — stoimy wobec tragicznej perspektywy całkowitego braku funduszów na opiekę otwartą nad dzieckiem. Jak natomiast opieka ta przedstawiała się w ubiegłym okresie szkolnym, unaocznia poniższa tabelka:

Z łącznej liczby 46.534 dożywianych dzieci

Wydział Opieki Społecznej pośredniczył w dożywianiu				7787	dzieci
Towarzystwo „Caritas“	„	„	„	15547	„
Robot. Tow. Przyjaciół Dzieci	„	„	„	1350	„
Opieki szkolne	„	„	„	18000	„
Sekcja przedszkolna	„	„	„	3850	„

Na powyższą akcję Wydział Opieki Społecznej wydatkował tytułem subwencji w ciągu roku 5.900.000 zł. (pięć milionów dziewięćset tysięcy złotych). Dodać należy, że znaczną pomocą była akcja UNRRA, w ramach której 10 magazynów dzielnicowych rozdało dzieciom 77.548 sztuk odzieży, niezależnie od 2.000 par obuwia. Jednak liczyć się należy, że akcja UNRRA wkrótce się skończy, a nawet najlepsze chęci i wysiłki naszych szwedzkich i duńskich przyjaciół nie potrafią wyrównać tej luki, jaką stworzy brak właściwych funduszów własnych w zakresie planowej pracy opiekuńczej.

Musimy sobie uprzytomnić, że katastrofa nie ograniczy się bynajmniej do uwidocznionego wyżej zakresu, bowiem, jak gdyby dla

uzupełnienia fatalności sytuacji. Wydział Opieki Społ. został pozbawiony uchwałą Warszawskiej Narodowej Rady Miejskiej prawa subwencjonowania pomocy szkolnych w szkołach powszechnych i średnich (w drodze zapomóg kwartalnych: 150-złotowych dla uczniów szkół powszechnych i 500-złotowych dla uczniów szkół średnich). Obowiązki te przeniesiono na Resort Kultury, Oświaty i Propagandy Zarządu Miasta. Wynik nie kazał na siebie długo czekać: gdy w I kwartale roku szkolnego 1945-46 wszystkie dzieci podopieczne, chodzące do szkoły otrzymały zapomogi, to w drugim kwartale nie otrzymał ich nikt, ponieważ Resort Kult. i Ośw. nie wyasygnował na ten cel ani grosza!! I tu zdziwienie dochodzi już do szczytu. Nie mam zamiaru bawić się w prokuratora, ani w sędziego śledczego, nie moją jest rzeczą badać i dochodzić winnych, natomiast muszę na tym miejscu stwierdzić jak najkategoryczniej: wina jest bardzo wielka, niezależnie od tego, czy ten, kto spowodował krzywdę dzieci, a pośrednio i społeczeństwa, kierował się złą wolą (co byłoby wręcz zbrodnią), czy nieznajomością sytuacji (co byłoby karygodnym niedbalstwem), czy jeszcze jakimiś innymi względami, jak np. niezrozumieniem doniosłości problemu, co jednak w żadnym razie nie dałoby się łatwo i prosto wytłumaczyć, bowiem sprawy te nieraz były poruszane w prasie, a ja osobiście w specjalnych memoriałach, kierowanych do Władz Miejskich starałam się podkreślić palącą konieczność dalszego uaktywnienia już tak pomyślnie rozwijającej się akcji, rokującej przy odpowiednio zwiększonym nasileniu zupełnie ładne wyniki.

Niestety, jak wykazuje rzeczywistość, zawiodło wszystko. Ale ostatecznie nie to przecież jest najgorsze, że ktoś nie wypełnił swego obowiązku, nie to, że ktoś nie zrozumiał nawet bardzo stosunkowo prostej sprawy, że ktoś okazał się niedbałym, czy wykazał lekceważenie wobec istotnych zagadnień państwowych i społecznych — do wypełnienia obowiązków można zmusić, czy nakłonić odpowiednimi środkami; kogoś, kto nie rozumie, można skierować na kurs przeszkalający przed ponownym powołaniem na placówkę pracy, niedbalstwo i lekceważenie interesu publicznego można wyperswadować choćby drogą wykazania ujemnych skutków takiego postępowania, a niepoprawnego i nałogowego niedbalca można ostatecznie pozbawić stanowiska — to wszystko są rzeczy do naprawienia. Jednak krzywda, wyrządzona dziecku polskiemu, utrata zdrowia, a może

i życia, stracone lata szkolne, opóźnione włączenie się młodocianej jednostki do normalnego procesu aktywizacji (oczywiście dodatniej) naszego życia społecznego — to wszystko odrobić się nie da. Ryzykuję twierdzenie, że błędy, już w tym zakresie popełnione, są nie do powetowania i każdy dzień zwłoki stratę tę zwiększa. Oczywiście, przez to samo uważam, że natychmiastowa ingerencja powołanych czynników we wskazanym przeze mnie kierunku może zapobiec dalszemu marnotrawstwu człowieka, tego niesłychanie ważnego materiału w odbudowie naszej Ojczyzny, którego mamy przecież tak niewiele. Przyznaję, że z wielką przykrością użyłam tego porównania człowieka z materiałem do odbudowy, ale niestety — wszystkie dotychczas używane przenośnie i zestawienia stale zawodziły — może to poskutkuje lepiej.

Zastanawiając się stale nad poruszonymi sprawami i omawiając je w gronie przyjaciół i współpracowników bliższych i dalszych, zetknęłam się z kontrargumentem, że jednak względy polityczne doby współczesnej nie pozwalają na dotowanie opieki społecznej w tak wysokim stopniu, jak jabym to uważała za właściwe, ponieważ inne dziedziny życia publicznego wymagają niemniej intensywnych wkładów materialnych. Istotnie, był to argument poważny, jakkolwiek zdaję sobie dobrze sprawę, jak często nadużywa się momentu politycznego dla pokrycia drobniejszych, czy poważniejszych usterek natury fachowej. Doceniam w pełni naszą wyjątkową sytuację i rozumiem położenie dzisiejszej Polski w świecie i wobec świata i rozumiem, z czego czasem trzeba rezygnować na rzecz pozornie zupełnie niekorzystnych posunięć.

Ale właśnie dlatego, że tak wyraźnie widzę te wszystkie konieczności, że rozumiem znaczenie pewnych odchyleń od wymogów społecznych na rzecz politycznych, z jeszcze większym naciskiem podkreślam: frontem do człowieka, frontem do dziecka! I nie ma tu żadnych różnic między dzieckiem takich, czy innych rodziców, między dzieckiem tu, czy tam urodzonym, tak, czy inaczej wyglądającym. Ja znam — i uważam, że każdy, komu dobro społeczeństwa i państwa rzeczywiście na sercu leży, znać powinien — jedynie dziecko potrzebujące, któremu natychmiast należy udzielić pomocy. I nikomu nie wolno dać się złudzić pozorem, że dziecko w zakładzie jest biedniejsze, „bo sierota", a dziecko, mieszkające np. w ziemiance, czy bunkrze nie potrzebuje tak intensywnej pomocy, „bo ma mat-

kę, która przecież może zarobić" (cytuję głosy autentyczne, różnych pseudofachowców od opieki społecznej, którzy w ten właśnie sposób wypowiadają się publicznie na ten temat). Nie chcę przez to twierdzić, że dziecko zakładu zawsze jest w lepszej sytuacji, niż dziecko w opiece otwartej. Opieka społeczna jest problemem natury niemal czysto humanistycznej, wymaga więc podejścia indywidualnego i dlatego właśnie zatrudniane są opiekunki, aby mieć wierny obraz każdej rodziny wspieranej, dlatego również pracują terenowi inspektorzy instrukcyjni zakładów zamkniętych (niestety ciągle w niedostatecznej ilości), aby stale aktualizowali obraz poszczególnych zakładów pod kątem opiekuńczym.

Niezachowanie zasad tego abecadła opieki społecznej musi przyśpieszyć potworny i nieprawdopodobny proces *wymierania narodu polskiego.* To nie frazes, to niestety nad wyraz smutna wymowa suchych liczb. W ubiegłym roku ubyło nam 150.000 *(sto pięćdziesiąt tysięcy)* ludzi!!! Gdyby ten proces miał zachować swe nasilenie — za lat 150 nie byłoby w Polsce ani jednego Polaka. I sądzę, że tu jest właśnie miejsce na wysunięcie najpoważniejszego chyba argumentu politycznego: przed wojną stosunek ludności Polski do ludności Niemiec przedstawiał się, jak 1 : 2, dziś wyraża się on liczbami 1 : 3. Czy to jeszcze za słaba wymowa par excellence polityczna na tle obecnych zniszczeń Warszawy? I co jeszcze oponenci mogą dorzucić do podanych zestawień? Co jeszcze skłaniać ich będzie do torpedowania akcji ratowania dziecka w Polsce i Warszawie? Co jeszcze utwierdzać ich będzie w uporze, doprawdy godnym lepszej sprawy, przeciwstawiania się wszelkim rozsądnym poczynaniom w tej dziedzinie i w równie mocnym uporze zamykania oczu na rzeczywistość naszą?

Nie twierdzę, że już najwyższy czas zawrócić z błędnej, fałszywej drogi. Przeciwnie, obstaję przy zdaniu, że jest już po czasie. Że już znajdujemy się na równi pochyłej i zgodnie z prawami naturalnymi staczać się będziemy coraz szybciej ku zagładzie, jeśli natychmiast nie włożymy całego wysiłku zatrzymania się w tym tragicznym biegu.

Jakkolwiek sytuacja na omawianym odcinku jest bardzo zła, myślę, że jeszcze nie jest beznadziejna, ale z drugiej strony sądzę, że byłoby największym błędem dać się jeszcze raz uwieść naiwnej wierze, że jak w innych ciężkich sytuacjach, tak i tu da się

coś poprawić jakimś pojedyńczym, bohaterskim zrywem, jakimś gwałtownym wysiłkiem na bardzo krótką metę, aby potem móc znów pogrążyć się w dolce far niente i kierując myśl ku wzruszającym wspomnieniom niezwykłych chwil, radować się osiągniętym zwycięstwem. Takie rzeczy są ostatecznie możliwe przy odpowiednio przygotowanej akcji zbrojnej, gdy rzeczą danej jednostki jest opanowanie pewnego terenu i na tym zadanie jej się kończy. Inni już zorganizują tam administrację, jeszcze inni pomyślą o gospodarczym wykorzystaniu zdobyczy. Ale najważniejsze zadanie zostało wykonane — teren zajęto. A reszta — przecież to już takie nieważne, skoro nie wymaga efektownego narażenia się na śmierć, ani czegoś podobnie interesującego, o czym możnaby pieśni śpiewać i lata całe się zachwycać. Któż się zachwyca, kto sławi pracę czołgającej się w gruzach opiekunki, czy pracującej dosłownie pełną dobę kierowniczki domu dziecięcego?

Ale właśnie ta praca musi być wreszcie doceniona — bez niej bowiem będziemy nieuchronnie zapadać się w nicość społeczną, za którą natychmiast w ślad pojawi się nicość polityczna. Musimy wreszcie uprzytomnić sobie, co się dzieje dziś i co się stanie wkrótce z tymi dziećmi, do których ta opiekunka nie dotrze.

Dla przykładu przytaczam pierwsze dane z tej dziedziny, jakie się nawinęły pod rękę — wyjmujemy je z artykułu Jana Szymańskiego pt. „Zadania Opieki Społecznej w walce z alkoholizmem wśród dzieci i młodzieży“ („Opiekun Społeczny“, nr 3—4, str. 38 i n.). Oto one:

W 1909 roku (statystyka D-rów Jodkowskiego i Glassa z Warszawy) na około 5.000 zbadanych dzieci szkół niższych i średnich w Warszawie chłopców używających alkoholu było 85,62%, dziewcząt — 89,41%.

W 1936 roku w Łodzi (wg pracy Dr. Jarosława Neczaj-Hruzewicza) na 52.399 dzieci zbadanych używało napojów alkoholowych 85,2%, w tej liczbie było *1.165 dzieci, pijących codziennie!!* A opinia jednego z najwybitniejszych lekarzy polskich, Prof. Dr. Władysława Szenajcha brzmi bardzo dobitnie: „Alkohol nawet w małych dawkach jest w ścisłym tego słowa znaczeniu *trucizną dla dziecka*“. Któż więc ostatecznie ma decydować w tych sprawach: faktyczna i paląca potrzeba, poparta opinią najwybitniejszych fa-

chowców, czy byle widzi mi się byle urzędniczyny, który niepoczytalnymi wystąpieniami, niby nowoczesny Herostrates, pragnie bodaj w ten sposób zdobyć nieśmiertelność?

Przypominamy tu, że dane, jakie przedstawiliśmy wyżej, były wybrane zupełnie przypadkowo i że... dotyczyły czasów przedwojennych, kiedy o nagminnej produkcji „bimbru" nikt jeszcze nie myślał, i kiedy nikomu nie śniło się o tym, że nadejdą czasy, kiedy dziesięcioletnie dziecko (a więc, według oceny naszego Kodeksu Karnego *całkowicie nieodpowiedzialne za popełniony czyn)* będzie utrzymywało rodzinę.

Gdybyśmy chcieli zapoznać się bliżej i bardziej wyczerpująco ze statystyką przestępczości młodocianych, nierządu wśród nieletnich i pijaństwa dzieci, uzyskalibyśmy liczby przerażające, podobnie, jak przerażająco przedstawia się statystyka dzieci gruźliczych.

Tego stanu nie wolno nam tolerować za żadną cenę!!

I nie wolno nam zamykać oczu na prawdę przez unikanie statystyk, czy drogą zakazu ich publikowania. Ze strusią polityką musimy zerwać raz na zawsze. Niebezpieczeństwo nie zniknie, ani się nie zmniejszy, jeśli go nie dostrzeżemy, czy nie zechcemy dostrzec, natomiast groźba jego będzie się wzmagać z każdą chwilą, niewykorzystaną do najbezwzględniejszej walki z nim. Musimy zmobilizować do tej walki natychmiast wszystkie środki, wszystkie wysiłki, na jakie nas stać, musimy wyeliminować wszelkie momenty hamujące i opóźniające akcję, a przede wszystkim musimy niezmiernie poważnie i rzeczowo przystąpić do rzeczy zasadniczej, jaką jest dobór właściwych pracowników i plan samej akcji. Musimy ją poprowadzić i przeprowadzić bezwzględnie rzetelnie i od podstaw, a więc z głębokim zrozumieniem samego problemu, jego wagi społecznej i znaczenia dla przyszłości naszego państwa i narodu. *I tylko tak można do tej sprawy podchodzić!!* Kto tego nie rozumie, winien natychmiast odejść, by swym niezrozumieniem nie utrudniać przynajmniej pracy tym, którzy pozostawieni sami sobie mogą co najmniej rzecz należycie opracować, a przy odpowiednich środkach — wykonać! Niczego więcej po nich się nie spodziewamy i na żadną pomoc nie liczymy, ale chyba takiego drobiazgu, jak usunięcie się — mamy prawo żądać!

I powtarzam raz jeszcze: sytuacja jest krytyczna — *bijemy na alarm,* a ci, którzy głosu tego nie usłyszą, a nakazu w nim zawartego nie wykonają, wezmą na siebie niesłychanie ciężką odpowiedzialność przed już następnym pokoleniem Polaków, a przyszłość, jeśli jej doczekają, przypisze im wielką i haniebną winę za przestępstwo wyniszczenia sił żywotnych narodu.

STANISŁAW PAPUZIŃSKI

Klęska elementarna

Jakkolwiek wojna skończona, wciąż jeszcze panoszy się niszczycielstwo niemieckie. Rozmach, jaki Niemcy nadali posiewowi zagłady w latach 1939 — 1945, gdy jeszcze mogli być sobą, dotąd nie ustaje. Skutki niszczycielskiej działalności niemieckiej zataczają kręgi coraz szersze i końca ich nie widać. Przekonywa się o tym każdy, kto z pewną uwagą śledzi przebiegi zjawisk ludnościowych, kto bada statystyki przyrostu naturalnego, a głównie umieralności.

Widać tu olbrzymie nasilenie, kontrastujące z obrazem statystycznym lat przedwojennych. Ludzie młodzi i w sile wieku usuwają się licznie spośród żywych, zamierając od udręk, od dawnych ran, z wycieńczenia i napięcia, z śmiertelnego utrudzenia. Starcy wymykają nam się żwawo, a niemowlęta dotrzymują im placu. Niemowlęta, zrodzone ze słabych matek, same słabe, nie wytrzymują warunków biologicznych, ekonomicznych, higienicznych, mieszkaniowych, nie wytrzymują niedostatku pielęgnacji, jakiej udzielać im mogą matki, oddane trudowi zdobywania chleba. Na domiar złego — badania lekarskie, przeprowadzane wśród dzieci i wśród dorosłych, bądź z ciekawości naukowej, bądź z życiowej konieczności, pokazują groźny stan zdrowia tego, co jeszcze przy życiu pozostało. Oto niespotykany zasięg zdobywa gruźlica, obejmując wielką część masy narodowej. Oto choroby weneryczne, choroby serca, choroby związane z tarczycą, choroby z braku witamin dotknęły już poważne rzesze. Oto poważna fala malarii zdobywa sobie nasz teren.

Powszechne jest naruszenie równowagi biologicznej narodu. W parze z nim idące zniszczenie potencjału gospodarczego utrudnia zahamowanie tego upadku biologicznego. Pomimo wielkich doko-

nań w dziedzinie odbudowy przemysłu i rolnictwa jesteśmy jednak jeszcze ubodzy, za ubodzy, aby odbudowa zdrowia mogła się wkrótce rozpocząć. Dotychczasowymi zabiegami nie potrafimy dotąd zrównoważyć wpływu rozpętanego czynnika zagłady, wniesionej przez Niemców do naszego życia.

Najbardziej tragiczną pozycję stanowi młode pokolenie. Samo się bronić, samo wołać o swoje nie umie. Poza upadkiem zdrowia, poza zakłóceniem normalnego rozwoju jest ono dotknięte ciężkim losem społecznym. Klęską dzieci jest zagłada rodziców, lub jednego z nich, jest wprzęgnięcie dzieci do walki o byt, jest utrata dzieciństwa, utrata nauki, utrata wypoczynku w ludzkich warunkach, oraz zajęcie się dorosłych swoimi sprawami tak dalece, że odwrócili oczy od dzieci. Położenie dzieci można określić jako klęskę elementarną. Dzieci odrzucone są poza margines życia.

Do niedawna sprawa dzieci polskich była sprawą całkowicie zapomnianą. Od niedawna dopiero o dziecku mówi się i mówi się coraz głośniej i wyraźniej. Prasa polska coraz bardziej daje ucho interesom naszego dziecka.

Przychodzi teraz pora na ożywienie działań dla dziecka, realnych działań obronnych, ochronnych, mających powstrzymać rozwój klęski.

Nadchodzi pora na przeobrażenie się rzeczywistości, w której dziecko żyje. Będzie to praca trudna, wymagająca niecodziennego wysiłku.

Twardo spoglądamy w oczy tej rzeczywistości. Tym, którzy na walce o wolność strawili prawie sześć długich, jakże mrocznych lat, pionierom człowieczej niepodległości, ludziom o duchu zawsze niepodległym, nie drży serce i nie łamie się myśl, gdy trzeba podjąć nowe ciężkie zadania. Zadania łatwiejsze niż wojenne, ale niemniej żmudne, mniej na pewno podniecające, bo pozbawione uroku, jaki towarzyszył bohaterstwu minionych wojennych dni. Zadania trudne jednak tym, że mogą być spełnione jedynie wtedy, gdy zdołamy z siebie wydobyć myśl wybiegającą poza dzień dzisiejszy i wolę silniejszą jeszcze niż wola zwycięstwa wojennego, oraz najwyższy poziom sprawności i sprzężenia w zorganizowanych działaniach.

O to wszystko u nas nie jest łatwo.

Jesteśmy przecież narodem, który ufny w swoje zdolności, niechętnie docenia konsekwentną myśl, doprowadzoną do końca, —

niechętnie doprowadza do końca zamierzone działania. Jesteśmy narodem gotowym na heroiczne zrywy, ale niechętnym do postanowień metodycznej pracy długodystansowej, zdolnej przetworzyć naród i wywołać przeobrażenia o pożądanym znaczeniu historycznym.

Jesteśmy narodem, który w budowaniu swojego losu lubi opierać się na krótkotrwałych pociągnięciach improwizacyjnych.

A tu trzeba inaczej. Trzeba pracy wytrwałej, długotrwałej i drobiazgowej.

Co trzeba uczynić?

KONCENTRACJA SIŁ

Koncetracja sił jest to koncetracja ludzi i środków. Wobec ogromu zadań, odpowiadających ogromowi strat i spustoszeń, — zarówno ludzi, jak i środków jest za mało. Tym umiejętniej, tym oględniej, tym rzetelniej trzeba te rozporządzalne wartości spożytkować.

Fachowców w dziedzinie opieki nad dzieckiem, jego zdrowiem, rozwojem, wychowaniem, mieliśmy za mało i przed wojną. Za mało odpowiednich, właściwie nastawionych wychowawców, lekarzy, organizatorów. — Podobnie jak cały naród i ich szeregi uległy przetrzebieniu. Ponadto podkreślić trzeba, że liczne pozostałe przy życiu jednostki przeniosły się do innych dziedzin pracy. Nowy narybek fachowców, pochodzenia wojennego również rozproszył się. Złe warunki bytu pracownika opieki nad dzieckiem i pracownika wychowania sprawiły, że znaczna część fachowców przeszła do bardziej intratnych zajęć. Objęło to przede wszystkim fachowców najzdolniejszych o wysokich kwalifikacjach, ludzi dzielnych, którzy przy braku sił fachowych, jakiego jesteśmy świadkami, wszędzie są pożądani dzięki swej wielostronnej przydatności.

Czynnikiem rozpraszającym siły fachowe — są również często i przykre stosunki pracy, co odbiera jednostkom bardziej ideowym, skłonnym do oceny skuteczności swej pracy, wiarę w celowość wysiłku, a tym samym odbiera im chęć trwania na stanowisku źle opłacanym, chęć dawania z siebie bezpożytecznej ofiary na ołtarzu potrzeb publicznych.

Odpływ fachowców jest — wobec podstawowego ich niedoboru — stratą tak wielką, że musimy działać w kierunku jej odrobienia. Albowiem skupienia wszystkich, jakich posiadamy w tej dziedzinie

w Polsce fachowców, z powrotem przy pracy dla dziecka jest istotną państwową koniecznością.

Nie będzie od rzeczy wspomnieć tu o potrzebie przystosowania płac tej kategorii pracowników do płac stosowanych np. w przemyśle.

Praca nad wychowaniem, nad ratowaniem młodego polskiego pokolenia jest pracą produkcyjną i według tej przesłanki należy ją honorować. Chcielibyśmy, aby takie stanowisko, aby pojmowanie spraw młodego pokolenia jak twórczej czynności produkcyjnej, oraz twórczej roli pracownika opieki nad dzieckiem — znalazło uznanie i zrozumienie u ogółu opinii publicznej.

Istota zagadnienia środków na opiekę nad dzieckiem sprowadza się do ich chronicznej niewystarczalności. Wszystko, co przeznaczyć może na ten cel Państwo, co osiągniemy ze źródeł pomocy zagranicznej, co zaofiaruje społeczeństwo — jest to o wiele za mało. Niezależnie od potrzeby rozważań skąd wydobyć środki (stanowić to musi przedmiot oddzielnego studium), na uwagę zasługuje sprawa celowego, ekonomicznego użytkowania środków rozporządzalnych. Właśnie dlatego, że jest ich tak mało. — Ważną przeszkodę stanowi decentralizacja dyspozycji w kilku ministerstwach, w zbyt wielu instytucjach społecznych — przy braku jednolitych zasad, jednolitego planu. Chodzi tu nie o mechaniczną centralizację, gdyż taka przynosi zawsze wiele szkody, lecz o sharmonizowanie działań Ministerstw: Oświaty, Zdrowia, Pracy i Opieki Społecznej, Przemysłu, Aprowizacji i Handlu, — tych przede wszystkim, a może i niektórych innych jeszcze; wydaje się to nieodzowne. Wszystkie wymienione ministerstwa są praktycznie zainteresowane losem dziecka, mają w tej mierze pewne powinności i udzielają na ten cel środków. Sharmonizowanie działań tych ministerstw w wyniku narad i decyzji odpowiedniego Komitetu Ministrów, powiększy wartość praktyczną rozporządzalnych środków. Powołanie Komitetu Ministrów do spraw opieki nad dzieckiem w Polsce jest uzasadnione ważnością sprawy i powagą sytuacji.

Podobne sharmonizowanie działań musi objąć społeczne instytucje opieki nad dzieckiem. Pomijając jako zrozumiałą i oczywistą kwestię współpracy programowej Chłopskiego i Robotniczego Towarzystw Przyjaciół Dzieci, której elementem powinno być również współdziałanie gospodarcze, za konieczne uważamy wytworzenie współpracy gospodarczej Centralnego Komitetu Opieki Społecznej,

Polskiego Czerwonego Krzyża, Związku „Caritas“, Ligi Społeczno-Obywatelskiej Kobiet, Centralnego Przedstawicielstwa Opiek Szkolnych. Ideą tej współpracy jest wypracowanie i urzeczywistnienie jednolitego planu ratowania dziecka. Jej elementem — racjonalne spożytkowanie środków pieniężnych i rzeczowych, jakie są do dyspozycji. Chodzi o najbardziej racjonalne spożytkowanie tych środków z uwzględnieniem hierarchii potrzeb krajowych wg. ich ważności.

Do okrągłego stołu narad powinny być poproszone i samorządodowe organy zdrowia i opieki społecznej z tytułu opieki wykonywanej nad dzieckiem w rodzinie, w szczególności nad dzieckiem w wieku do lat 3-ch.

Brak ścisłego współdziałania wśród urzędów i wśród instytucji, oraz między urzędami państwowymi, a instytucjami społecznymi jest równoznaczny z rozpraszaniem, jeśli nie trwonieniem szczupłych środków.

Mnogość środków dyspozycyjnych, nieraz — powiedzmy szczerze — nacechowanych wielką i zazdrosną ekskluzywnością i konkurujących między sobą w sposób nie zawsze przynoszący zaszczyt, a czasem wręcz sobie wrogich, nie tylko zmniejsza skuteczność prac i znaczenie rozporządzalnych środków, ale uszczupla również możliwości należytego rozwinięcia pomocy zagranicznej.

Pomoc ta może być większa, a przy tym bardziej równomierna i długo falowa — jest to jednak uzależnione od harmonijnej i jednolitej naszej aktywności w stosunku do narodów nie poszkodowanych przez wojnę. To zaś zależy od wytworzenia w Kraju centralnego ośrodka planowania i dyspozycji w zakresie spraw dziecka. Mogłoby nim być Ministerstwo Spraw Dziecka, prawdziwe ministerstwo odbudowy narodu.

Do zapobieżenia dalszym stratom, do przeciwstawiania się dalszym sukcesom, które Niemcy odnoszą mimo przegranej wojny, potrzebna jest akcja ofenzywna z koncentracją ludzi, koncentracją środków i z jednym naczelnym, ogarniającym całość kierownictwem.

WŁODZIMIERZ SZCZEPAŃSKI, adw.

Dzieci pozamałżeńskie

Zagadnienie opieki nad dzieckiem jest jednym z najdonioślejszych zagadnień społecznych, gdyż od należytego rozwiązania tego zagadnienia zależy odbudowa biologicznych sił narodu polskiego. Niemcy bowiem konsekwentnie realizowali totalny program zniszczenia ras i choć Polska należy do krajów zwycięskich, to jednak nie prędko uleczy się z ran zadanych przez wojnę.

Tragedia dziecka polskiego stanowi osobną kartę w tragedii, którą przeżywał cały naród. Tysiące dzieci zmarło podczas masowych przesiedlań, w barakach i podczas transportów, tysiące zginęło podczas masowych egzekucji, w miastach i po wsiach, w powstaniu warszawskim, w obozach koncentracyjnych, tysiące wreszcie zmarło z głodu i niedostatku. Tysiące, setki tysięcy sierot i dzieci bezdomnych — oto spuścizna po krwawym, wieloletnim pobycie Niemców w Warszawie.

Wyrównanie więc jak najpilniejsze naszego uszczerbku liczebnego wiąże się ściśle z naszą pozycją w świecie, wiąże się z koniecznością przywrócenia równowagi w Europie, z koniecznością stworzenia silnego wału przeciwgermańskiego. Wszystkie narody słowiańskie muszą się liczyć z odbudową Niemiec, z istotą roszczeń faszystowskich. Polska musi się liczyć, że pierwsza będzie narażona na niebezpieczeństwo.

Zaludnienie naszych odzyskanych ziem zachodnich też wiąże się z zagadnieniem odbudowy naszej siły liczebnej.

Tak więc obok innych zadań sprawa opieki społecznej nad dzieckiem jest już nie tylko jedną z doniosłych spraw społecznych, ale wzrasta do sprawy o wielkim znaczeniu państwowym.

To, co dziś wiemy o rozwijającej się opiece nad dzieckiem chłopskim czy robotniczym, winno nas napawać otuchą, że czynniki odpowiedzialne za ten dział pracy zrobią wszystko, aby dziecku zapewnić należytą opiekę materialną i moralną, aby dziecku niezależnie od pochodzenia zapewnić równy start życiowy, tę szansę życiową, do której ma prawo każde dziecko, stosownie do swych zamiłowań, zdolności, czy drzemiących w nim talentów.

Jednym z postulatów postępowej myśli społecznej od lat w Polsce było usunięcie różnicy prawnej, jaka od wieków istniała między dzieckiem małżeńskim, a dzieckiem ze związku pozamałżeńskiego. Tę różnicę prawną hodowała tradycyjna myśl prawnicza, rzekomo w imię świętości rodziny.

Zakaz dochodzenia ojcostwa, brak dziedziczenia odpowiedniego po ojcu pozamałżeńskim nawet w przypadku uznania, noszenie nazwiska matki, ograniczone skutki dobrowolnego uznania ojcostwa, ograniczone poszukiwanie alimentów, niemożność adopcji małoletnich w Kongresówce do 13 lipca 1939, puste miejsce z literami NN. w rubryce wskazującej ojca w metryce urodzenia — oto przykłady okrucieństw prawnych, popełnionych wobec dzieci pozamałżeńskich w imię — świętości rodziny.

Dziecko pozamałżeńskie z natury rzeczy ma trudniejszy start życiowy. Wychowywane tylko przez matkę, często cierpi niedostatek i znajduje się od razu w warunkach bardziej upośledzonych pod względem moralnym i materialnym. Położenie to pogarsza jeszcze prawo, dyskryminując dziecko na każdym kroku pod względem różnic między dzieckiem pozamałżeńskim, a dzieckiem małżeńskim.

Charakterystycznymi dla tradycyjnego myślenia prawnego są uwagi, jakie ogłosili sędziowie Baliński, Holewiński, Rakowiecki w 1939 r. na temat dzieci nieślubnych i ich położenia prawnego w związku z ogłoszonym przez Komisję Kodyfikacyjną projektem prawa o stosunkach rodziców i dzieci.

„A przecież zbytnia pobłażliwość względem dzieci zrodzonych z takich związków, tj. względem dzieci nieślubnych, zbytnia gorliwość w dążeniu do zrównania praw dzieci nieślubnych z prawami dzieci ślubnych, łącznie z trudnymi warunkami ekonomicznymi obecnego pokolenia, powoduje i powodować będzie coraz częstsze uchylanie się mężczyzn od zawarcia trwałego związku rodzinnego w formie ślubu, czy to religijnego, czy to cywilnego. W następstwie zaś powodować będzie coraz częstsze wypadki urodzeń dzieci nieślubnych i jeszcze częstsze wypadki spędzania płodu".

Oto mamy tutaj typowe rozumowanie zwolenników upośledzenia prawnego dzieci pozamałżeńskich w imię świętości rodziny. „Gdzie Rzym, gdzie Krym". Nigdy jeszcze oficjalna obłuda nie święciła takich triumfów. Jak to, więc trwałość związku małżeńskiego

ma zależeć od upośledzenia dziecka zrodzonego ze związku pozamałżeńskiego?

Przede wszystkim zauważyć należy, że trwałość związku małżeńskiego zależy od stosunków ekonomicznych, a co za tym idzie obyczajowych. Przemiany ekonomiczne, zmienione warunki życia rodzinnego, usamodzielnienie się kobiety, gorączkowość życia współczesnego, wywierają niemały wpływ na życie rodzinne. Konieczność zarobkowania obojga małżonków równouprawnia obie strony w małżeństwie i zmusza je do kompromisów we współżyciu. Brak tych kompromisów osłabia harmonijność pożycia małżeńskiego i wpływa na rozluźnienie związku.

I choć zgodzić się należy z poglądem, iż rodzina jest podstawową komórką życia społecznego i że prawo winno zapewniać trwałość związku małżeńskiego, to jednak droga do tej trwałości nie prowadzi przez upośledzenie dzieci zrodzonych ze związku pozamałżeńskiego.

Przeciwnie, należy uznać, że nieodpowiedzialność mężczyzny za skutki pożycia pozamałżeńskiego wpływa na niezawieranie związków małżeńskich i zwiększa liczbę dzieci zrodzonych ze związku nieślubnego. Zakaz dochodzenia ojcostwa, unikanie płacenia alimentów, przez zgłoszenie w sądzie zarzutu „plurium concubentium", wszystko to sprzyja bezkarnemu ojcostwu nieślubnemu i unikaniu zawierania małżeństw.

Zrównanie natomiast obowiązków ojca i matki dziecka nieślubnego, nałożenie na nich jednakowych ciężarów, jeśli chodzi o opiekę i wychowanie takiego dziecka, z jednej strony zmniejszy liczbę dzieci urodzonych z takiego związku, z drugiej strony wpłynie na zwiększenie się liczby małżeństw, a ponadto zapewni dzieciom nieślubnym znacznie lepszą opiekę materialną i co za tym idzie ułatwi im możność wejścia w życie z lepszymi niż dotychczas szansami.

W Polsce przedwojennej rodziło się rocznie około 57.000 dzieci ze związku pozamałżeńskiego. I jeśli w Polsce przedwojennej sprawa opieki nad dzieckiem nie stała na należytym poziomie, to już szczególnie los tych dzieci nieślubnych nie był do pozazdroszczenia.

Ze zjawiskiem dzieci nieślubnych wiąże się ściśle drugie zagadnienie porzucania dzieci. Matka nieślubna, często młoda, uwiedziona dziewczyna, potępiona przez społeczeństwo, sama nieraz

bez środków do życia, widzi jedynie wyjście w porzuceniu dziecka. I choć z bólem serca — decyduje się na to. W samej tylko Warszawie w 1935 r. zameldowano organom policyjnym o 2.142 wypadkach podrzucenia dzieci, w 1936 r. o 2.241, w 1937 r. o 2.475.

W rzeczywistości liczba dzieci porzuconych była znacznie większa.

Los dzieci opuszczonych jest bardzo smutny. Jedne wychowują się w zakładach opiekuńczych, w niektórych gminach ubogich po prostu tułają się bez opieki, niektóre umieszczane są w przypadkowych rodzinach. Wszystkie te dzieci od najwcześniejszych lat swego życia odczuwają wielką tęsknotę, za tą, którą mogłyby nazwać matką, za tym, który byłby ich ojcem. Z czasem u dzieci tych powstaje silny uraz psychiczny i poczucie wielkiej krzywdy społecznej, tym większej, że przez nie najzupełniej niezawinionej.

Śmiertelność wśród dzieci pozamałżeńskich i dzieci porzuconych była zawsze bardzo wielka. Niestety, nie mamy tutaj dostatecznych danych. Śmiertelność ta wynikała z niedostatecznej opieki, braku należytego odżywiania, chorób itd. Rodziny, które przygodnie opiekowały się dzieckiem opuszczonym, nie wywiązywały się należycie ze swych zadań. Zakłady Opieki Społecznej również nie były dostatecznie wyposażone materialnie, by sprostać swym zadaniom w stosunku do posiadanych dzieci. Na krótko przed wojną tworzono koła rodzin zastępczych, co, jak wykazała praktyka, dawało zbawienne rezultaty.

Te wielkie niedomagania polityki społecznej wobec dzieci muszą dziś po wojnie być radykalnie usunięte. Zwłaszcza, że po wojnie zadania w tej dziedzinie się zwiększyły, gdyż obok normalnych zadań, które nastręcza bieżące życie, mamy do rozwiązania zagadnienie miliona sierot wojennych.

Nowe rozwiązanie prawne przyniosło prawo rodzinne, jednolite dla całej Polski, obowiązujące od 1 lipca 1946 r.

Prawo rodzinne ogłoszone w dzienniku ustaw nr. 6 z roku bieżącego, zawiera postanowienie, dotyczące dzieci pozamałżeńskich. Prawo rodzinne jest częścią ogólnej kodyfikacji prawa cywilnego. Jak wiadomo Ministerstwo Sprawiedliwości w szeregu aktów prawodawczych ma doprowadzić do ujednolicenia prawa, a zwłaszcza prawa cywilnego. Dotychczas bowiem obowiązywały w Polsce trzy różne kodeksy cywilne.

Postanowienia prawa rodzinnego w odniesieniu do dzieci pozamałżeńskich stanowią znaczny krok naprzód. Przede wszystkim dotyczy to zniesienia zakazu dochodzenia ojcostwa. Zakaz dochodzenia ojcostwa pokutował bowiem do ostatniej chwili na terenach województw centralnych i wszelkie próby zniesienia tego zakazu przed wojną nie zostały uwieńczone powodzeniem.

Niewątpliwie ustalenie ojcostwa nie jest rzeczą łatwą. Już autorowie kodeksu Napoleona zauważyli w swoich motywach, że tajemnicą otoczyła natura „ojcostwo". Badanie krwi aczkolwiek posunęło sprawę naprzód — niemniej przy pomocy tej metody w niewielu przypadkach udaje się pozytywnie stwierdzić ojcostwo. Stąd prawo rodzinne ucieka się do domniemań. Według art. 47 tego prawa za ojca dziecka uchodzi ten, kto obcował z jego matką w czasie od trzechsetnego do sto osiemdziesiątego dnia przed urodzeniem dziecka. Domniemanie to może być obalone dowodem z faktów, budzących poważne wątpliwości co do ojcostwa pozwanego.

Nowe prawo podważyło również nienaruszalność zasady wyrażonej w tzw. exeptio plurium concubentium, jako instytucji uchylającej możność ustalenia sądowego ojcostwa. Osobnik, któremu groziło, że zostanie sądownie uznany za ojca, zgłaszał jako świadków swych koleżków, którzy zgodnym chórem zeznawali, że również „bliżej znali tę panią". Sąd pozew oddalał. Konduita świadków, dobro dziecka — sądu nie interesowały. Bezmyślna tradycja hodowała szeroko system zarzutu, że matka dziecka obcowała z innymi mężczyznami, zarzutu, który w istocie swej wymierzony był przeciw dziecku, będącemu największym dobrem społeczeństwa.

Ten sam osobnik, który obdarzał kobietę pełnym zaufaniem przed poczęciem dziecka, nagle odmawia jej swego zaufania, gdy z ich stosunków zrodziło się dziecko. Mało tego — jest pierwszym, który matkę swego dziecka chce wyzuć ze czci i zniesławić publicznie przez podstawionych świadków. Nie mówiąc już o tym, że broniąc swego fałszywie pojętego honoru, kosztem niesławy kobiety, jednocześnie pozbawia swe dziecko praw elementarnych do życia i skazuje go na życie bezimienne.

Stosowanie zarzutu obcowania z innymi mężczyznami w województwach centralnych nie było dostatecznie uzasadnione, gdyż wobec zakazu dochodzenia ojcostwa nie chodziło o skutki prawne ojcostwa, lecz tylko o alimenty. Ustalenie ojcostwa powoduje stosunek

pokrewieństwa pomiędzy ojcem a dzieckiem, nadanie dziecku nazwiska ojca, prawo dziedziczenia itd.

Natomiast zasądzenie alimentów od domniemanego ojca na rzecz dziecka poza słabą rekompensatą w postaci zasądzonej części zarobku ojca nie stwarza innych skutków, dziecko nadal jest bezimienne, nadal matka wychowuje go wyłącznie z własnych dochodów, nie mówiąc już o tym, że wychowanie dziecka osłabia możliwości zarobkowania kobiety.

Nowe prawo rodzinne pozostawia sądom wypowiedzenie się do zarzutu obcowania z innymi mężczyznami w zależności od materiału w sprawie. Art. 48 postanawia, iż okoliczność, że matka w okresie poczęcia obcowała z innym jeszcze mężczyzną nie stoi na przeszkodzie ustalenia ojcostwa. Sąd oceni w miarę wyników postępowania, czy pozwanego należy uważać za ojca dziecka.

Postanowienie nowego kodeksu więc, jak widzimy z powyższego, czyni zadość postulatom opinii publicznej i należy mniemać, że nietylko nie przyczyni się do osłabienia więzów rodzinnych, lecz wręcz odwrotnie do ich wzmocnienia. Dzieciom zaś pozamałżeńskim zapewni lepszy start życiowy, niż miały dotychczas.

Obok zagadnień materialnych tak ważnych dla dziecka, zrodzonego ze związku pozamałżeńskiego z natury swej słabszego, jeśli chodzi o możliwości utrzymania i wychowania, nierównie doniosłymi są skutki dochodzenia ojcostwa, jeśli chodzi o nazwisko.

Dopóki w prawie dominuje zasada, że żona nosi nazwisko męża, a dzieci z małżeństwa noszą nazwisko ojca, dopóty społeczeństwo będzie uważało, że noszenie nazwiska matki jest czymś gorszym, ujawniającym nieprawidłowość urodzenia. Dziecko noszące nazwisko matki jest przedmiotem drwin otoczenia. Idzie w świat z nazwiskiem matki, gdyż ojciec jest nieznany aktowi urodzenia, choćby był znany bliższemu otoczeniu. Dziecko od strony ojca jest bezimienne i idzie w świat bezimienne na całe życie.

Matki nieślubne, zwłaszcza te, które jako tako uporały się ze sprawami materialnego wychowania dziecka, dążą przede wszystkim do zapewnienia dziecku nazwiska ojca. Mogą go uprosić o uznanie ojcostwa. Czasami ojciec daje się uprosić, częściej nie, gdyż boi się dalszych skutków uznania w postaci odszkodowania. Można też jeśli już nie zapewnić dziecku nazwiska prawdziwego ojca, to chociaż jakiegokolwiek mężczyzny. Osiągnąć cel można przez fikcyjne małżeń-

stwo, zwłaszcza z jakimś starcem z przytułku. Można też kupić nazwisko płacąc obcemu mężczyźnie za przyznanie się do nieswojego dziecka.

W województwach centralnych dotychczasowe prawo milczało o nazwisku dziecka pozamałżeńskiego. Zasada, że dziecko nosi nazwisko ojca mieściła się w dziale, odnoszącym się do dzieci z małżeństwa. Stąd też płynęła różnica zdań w kołach prawniczych i nierzadko można się było spotkać z poglądem, że nawet w przypadku uznania ojcostwa dziecko winno nosić nazwisko matki.

Wszystkie te wątpliwości i różnice prawne w dziedzinie nazwiska dziecka pozamałżeńskiego obala nowe prawo rodzinne. Ustalając, że dziecko pozamałżeńskie nosi rodowe nazwisko matki jednocześnie w odniesieniu do dzieci uznanych postanawia, że mają one stanowisko prawne dziecka z małżeństwa. Natomiast w razie ustalenia ojcostwa przez sąd nazwisko ojca dziecko otrzymuje, jeżeli zgłosi się taki wniosek w sądzie, chyba, że matka się temu sprzeciwi. Ten ostatni przepis podyktowany jest odmiennym charakterem sądowego ustalania ojcostwa. Mogą zajść bowiem okoliczności specjalne, w których głos matki winien być decydującym.

Dalsze zagadnienie dotyczy sprawy pokrewieństwa dziecka pozamałżeńskiego. Dziecko małżeńskie posiada krewnych aż do nieskończoności. Prawo jednak odmawia dziecku pozamałżeńskiemu uprawnień wynikających z pokrewieństwa. Najprościej byłoby uznać, że dziecko pozamałżeńskie w przypadku posiadania matki i ojca ma te same prawa, wynikające z pokrewieństw co dziecko małżeńskie. Zagadnienie jednak nie dojrzało do takiego rozwiązania. Wobec powyższego rozróżniamy jeśli chodzi o prawo wynikające z pokrewieństwa następujące przypadki: a) pokrewieństwo w stosunku do matki. b) pokrewieństwo w stosunku do rodziny matki. c) pokrewieństwo w stosunku do rodziny ojca.

Jeżeli matka jest znana w akcie urodzenia, to oczywistą jest rzeczą, że dziecko posiada prawo wynikające w stosunku do matki. Prawo idzie dalej i to jest powszechnie aprobowane, że dziecko pozamałżeńskie ma prawo z pokrewieństwa w stosunku do matki i jej rodziny.

Inaczej rzecz się przedstawia jeśli chodzi o ojca. Tu mamy opór. Tradycyjny pogląd odmawia dziecku praw z pokrewieństwa do rodziny ojca, zgadzając się na to jedynie, że w razie dobrowolnego

uznania dziecka przez ojca, albo prawomocnego sądowego ustalenia ojcostwa, dziecko uzyskuje prawo wypływające z pokrewieństwa, także w stosunku do ojca. Nasz kodeks poszedł dalej i przez uznanie, że dziecko w przypadku uznania przez ojca nabywa stanowisko prawne jego dziecka z małżeństwa, tym samym przyznaje dziecku uznanemu — prawa do pokrewieństwa wobec rodziny ojca.

Z przepisu cytowanego o zrównaniu z dzieckiem z małżeństwa dziecka uznanego przez ojca wynika, że nad takim dzieckiem władzę rodzicielską sprawują oboje małżonkowie, gdy władzę rodzicielską nad dzieckiem pozamałżeńskim sprawuje z zasady matka.

Omówienie wszystkich zagadnień związanych z dzieckiem pozamałżeńskim wymaga osobnej publikacji, tutaj jedynie podkreślono bardziej istotne zagadnienie związane z zagadnieniem dzieci pozamałżeńskich. Do takich też należy instytucja zrównania dziecka pozamałżeńskiego z dzieckiem z małżeństwa. Dziecko pozamałżeńskie, nieznane przez ojca może być zrównane z dzieckiem z małżeństwa na wniosek matki, lub dziecka. Jeżeli rodzice pozostawali w faktycznej wspólności małżeńskiej lub też postępowali z dzieckiem tak jak z dzieckiem z małżeństwa. Orzeka o tym władza opiekuńcza, której postanowienie winno być zatwierdzone przez sąd apelacyjny.

Ze sprawą dzieci pozamałżeńskich wiąże się ściśle sprawa przysposobienia (adopcji). Przysposobienie jest bowiem: a) samodzielną instytucją prawa cywilnego, b) w praktyce związaną z dziećmi pozamałżeńskimi, gdyż z nich najwięcej rekrutują się dzieci porzucone. Instytucja przysposobienia natomiast daje możność stworzenia związku prawnego pomiędzy dziećmi porzuconymi, a rodzinami zastępczymi, wychowującymi te dzieci.

Instytucja przysposobienia w naszym prawie rodzinnym rozwiązana została zgodnie z duchem czasu i potrzebami obecnymi narodu polskiego. Zasadniczy bowiem warunek dla przysposabiających — bezdzietność — został odrzucony. Ustawodawca miał na widoku istnienie tysięcy sierot wojennych i aby ułatwić wychowanie ich przez rodziny zastępcze skasował warunek tradycyjny: brak dzieci u przysposabiających. Idąc po linii najdalej idącego ułatwienia przysposobienia, ustawodawca obniżył również granicę wieku dla przysposabiających. Przysposobić może więc obecnie osoba mająca pełną zdolność do działań prawnych, która ukończyła lat trzydzieści pięć, a w przypadku gdy wychowywała małoletniego przez trzy lata, to

wystarczy nawet, gdy przysposabiający będzie miał lat dwadzieścia pięć.

Inne przepisy idą również po linii ułatwienia przysposobienia. Nawet w spornym punkcie a mianowicie: jakie nazwisko ma nosić przysposobiony w przypadku adoptowania go przez wdowę. Kodeks poszedł po własnej linii, że nosić będzie jej nazwisko obecne, a nie tylko jej rodowe, jak pierwotnie projektowano. To słuszne postanowienie ułatwi wielu wdowom wojennym wzięcie dziecka nieślubnego w przypadku adoptowania wychowanka.

Jak widzimy więc w naszym prawie rodzinnym przede wszystkim uwzględniono dobro dziecka. Poprawienie położenia prawnego dziecka pozamałżeńskiego przez nowe prawo rodzinne, to wielkie dzieło kierowników naszego ustawodawstwa. Jest to nie tylko akt sprawiedliwości dziejowej o wielkiej doniosłości moralnej, usuwający fałsz i obłudę z ustawodawstwa, ale również akt o wielkiej doniosłości narodowej. Usunięcie pokrzywdzenia prawnego dzieci pozamałżeńskich przyczyni się bowiem do szybszego odbudowania zachwianego przez wojnę potencjału biologicznego naszego narodu.

Omówiliśmy blaski naszego nowego prawa rodzinnego. Należy więc omówić również cienie. Cieni tych jest niewiele, zwłaszcza, że nieuregulowanie szeregu zagadnień zdaje się zaliczyć należy na rachunek raczej pewnego niedopatrzenia.

Chodzi o sprawę dzieci porzuconych i opuszczonych. Może ktoś powiedzieć, że są to sprawy z zakresu opieki społecznej. Zapewne. Jednak niektóre zagadnienia domagają się uregulowania przez prawo cywilne.

Nie dotykamy tego problemu z punktu widzenia społecznego i dlatego nie omawiamy tu profilaktyki społecznej tego zagadnienia. Poprostu przyjmijmy, że mamy do czynienia z dzieckiem, które się znalazło w zakładzie opieki społecznej. Niezależnie w jaki sposób się znalazło w zakładzie, czy porzucone na ulicy i skierowane przez organa władzy, czy też umieszczone przez matkę nieślubną, nie mogącą wychować dziecka, matkę, która często znika na zawsze po umieszczeniu dziecka.

Zakłady opieki społecznej, opiekując się swoimi pupilami, mają do wykonania cały szereg czynności prawnych, jak: odszukanie rodziców dziecka czy też ojca pozamałżeńskiego, wytoczenia pozwów

o ojcostwo lub alimenty, ustalenie majątku dziecka, lub też dochodzenie majątku spadkowego, powzięcie decyzji o powierzeniu dziecka rodzinie zastępczej.

Wszystkie te czynności wymagają przedstawiciela ustawowego. Tymczasem zakłady opieki społecznej z samego prawa nie są przedstawicielami ustawowymi dziecka. W jednym przypadku przewidzianym przez art. 50 prawa rodzinnego organa opieki społecznej mogą wytoczyć powództwo o ojcostwo dziecka, jeżeli dziecko pozostaje na utrzymaniu instytucji prawa publicznego. Do wykonania wszystkich innych czynności potrzebny jest opiekun prawny, którego w myśl art. 12 § 2 prawa opiekuńczego mianuje sądowa władza opiekuńcza, przy czym władza ta nie jest związana wnioskiem zakładu co do osoby opiekuna, a tylko w miarę możności uwzględnia wniosek zakładu.

Nie potrzeba dodawać, że pozbawienie zakładów opieki społecznej działania prawnego w imieniu dziecka stwarza dla zakładów komplikacje w postaci olbrzymiej ilości spraw w sądach o ustanowieniu opiekunów prawnych, a zmusza zakłady do powiększania personelu, odrywa personel zakładów od czynności wychowawczych, dalej zmusza zakłady opieki społecznej do ciągłego uzgodnienia postępowania z opiekunami prawnymi, a ponadto przepis ten nie daje gwarancji, że sądy, jak władze opiekuńcze, będą mianowały właściwe osoby, gdyż w tym przedmiocie nie są związane wnioskami zakładów.

Doświadczenie zakładów opieki społecznej wykazało, że dziecko może się normalnie wychować tylko w rodzinie, stąd też szeroka akcja tworzenia kół rodzin zastępczych i propaganda, aby małżeństwa bezdzietne brały dzieci na wychowanie. Dziś zwłaszcza po wojnie, akcja ta winna być zakrojona na specjalnie szeroką skalę, i akcji tej winny patronować czynniki państwowe.

W pamięci kierowników zakładów opieki społecznej zanotowane są wzruszające dowody miłości do dziecka i przywiązania dziecka do rodziców przybranych. Przykłady, w których rodzina zastępcza okazała się niegodna powierzenia dziecka są tak nieliczne, że raczej potwierdzają słuszność zasady powierzania rodzicom przybranym dzieci na wychowanie. Skądinąd szczupły personel zakładów opieki społecznej, brak środków finansowych — dowiodły, że śmiertelność dzieci w zakładach jest bardzo duża i że rozwój umysłowy dzieci zakładowych jest bardzo powolny.

Ale i tu występują trudności prawne przy powierzaniu dziecka rodzinie przybranej. Małżeństwo bezdzietne, zgłaszające się po dziecko chce mieć pewność, że po jakimś czasie dziecko to nie zostanie im odebrane. Pytają, czy dziecko jest niczyje, czy nikt się po nie nie zgłosi, czy zakład wydając dziecko może dać gwarancję, że dziecko nie zostanie odebrane. I tu przed zakładem stają ciągłe problemy nie do rozwiązania, problemy co do rozwiązania których prawo nie daje żadnych wskazówek.

Dziecko jest więc powierzone rodzinie zastępczej, ale po latach kilku, albo kilkunastu nawet rodzice, czy matka dziecka mogą się zgłosić i odebrać dziecko. Zgłoszenie się takie nie może być tłumaczone miłością, lub wyrzutami sumienia, gdyż w takich przypadkach rodzice zgłaszają się niezwłocznie. Zgłoszenie się po dziecko po latach kilku, czy kilkunastu od chwili opuszczenia dziecka, lub zgoła porzuceniu go na ulicy, nieraz w warunkach niebezpiecznych dla życia, tłumaczy się, jak to praktyka wykazała: a) chęcią uzyskania siły roboczej po wychowaniu dziecka przez zakład, lub rodzinę zastępczą, b) chęcią szantażu w celu uzyskania odszkodowania pieniężnego od rodziny zastępczej, c) chęcią uzyskania alimentów od dziecka, które już na siebie zarabia.

Rodzice przybrani chcą się więc zabezpieczyć przed odebraniem dziecka, które z trudem wychowali i są doń przywiązani. Z drugiej strony zakłady opieki społecznej nie wiedzą, które dziecko mogą wydać na wychowanie. Prawo nie daje na to odpowiedzi, a przecież prawo winno ustanowić terminy, po upływie których mogą dzieci wydać z zakładu. I wydaje się, że w tym zakresie winny istnieć przepisy, postanawiające jakie dzieci i w jakich warunkach opuszczone i po jakim czasie pobytu w zakładzie mogą być powierzone innym na wychowanie, przy czym wydaje się, że powinny istnieć inne terminy dla sierot wojennych, a krótsze dla dzieci opuszczonych, lub porzuconych obecnie.

Ponadto koniecznym się wydaje ustanowienie przepisu, nadającego skutki prawne piśmiennym zrzeczeniom się dziecka przez rodziców na rzecz instytucji opieki społecznej, która z kolei może dziecko wychować sama, lub też wydać dziecko rodzinie zastępczej. Zrzeczenia takie są często stosowane w praktyce zakładów opieki społecznej, lecz zrzeczenia te nie mają żadnego znaczenia prawnego. Często

się natomiast zdarza, że matka lub rodzice, mimo zrzeczenia, w przypadku, gdy na boku dowiedzą się, że dziecko zostało wydane, niezwłocznie zgłaszają się po odbiór dziecka, lecz właściwie po okup od rodziny zastępczej. Gdy tylko z zachowania się rodziny zastępczej okaże się, że zależy im na dziecku, stanowisko rodziców prawdziwych jest nieprzejednane. I odwrotnie, gdy rodzina zastępcza, rozumiejąc o co właściwie chodzi, od razu zgadza się dziecko oddać, wtedy właściwi rodzice mówią: co my z dzieckiem będziemy robić itp., może wreszcie ono u was zostanie".

Wobec powyższego w prawie rodzinnym, czy też innym dziale prawa cywilnego winny być wprowadzone postanowienia z zakresu stosunku dziecka do rodziców, porzucających dziecko. W tej sprawie należałoby wysunąć następujące postulaty: a) rodzice porzucający tracą prawa do dziecka i odebrana im jest władza rodzicielska, zarówno w stosunku do osoby dziecka jak i jego majątku, b) tracą prawa do alimentacji ze strony dziecka, c) tracą prawa spadkowe po dziecku. Postanowienia powyższe nie mogą oczywiście odnosić się do sierot wojennych.

Możnaby powiedzieć, że pośrednio cel ten można osiągnąć przy pomocy przepisów o odebraniu władzy rodzicielskiej. Jednakże przepisy te są niewystarczające. Po pierwsze nie można zagadnienia tego pozostawić swobodnemu uznaniu sędziowskiemu, gdyż sędzia winien mieć tu wskazówki, płynące z przepisu prawa. Dalej w każdej sprawie przed wydaniem dziecka należy wytoczyć pozew przeciwko rodzicom, często nieznanym, trzeba uruchomić cały przewlekły aparat, co w rezultacie tylko utrudni wydanie dziecka rodzinie zastępczej.

Wreszcie ostatnia może najważniejsza kwestia dla dzieci pozamałżeńskich, względnie dzieci nieznanego pochodzenia. Jest to sprawa pustych miejsc, czasami wypełnionych literami NN w rubrykach, wskazujących ojca, lub rodziców w dowodach urodzenia. Prawo w tym przedmiocie milczy, ale dlatego, że milczy, jest okrutne.

Luka ta w ustawodawstwie jest wielką krzywdą dla dzieci, których rodzice są nieznani. Brak w dowodach urodzenia imion rodziców piętnuje dzieci na całe życie. W szkole są wyszydzane przez rówieśników. W życiu dojrzałym również podlegają krytycznej eliminacji społecznej.

Możnaby powiedzieć, że krytyczny stosunek społeczeństwa do dzieci nieznanego pochodzenia, lub dzieci pozamałżeńskich jest niesłuszny i że raczej należałoby odpowiednio wpływać na opinię publiczną, aby społeczeństwo nie dawało odczuć tym dzieciom tej krzywdy, zwłaszcza, że przez nie niezasłużonej. Lecz to jest muzyka przyszłości, dziś zaś prawo, idąc z postępem czasu, winno tę sprawę uregulować, zwłaszcza, że jest to rzecz nietrudna.

Ustawa z dnia 13 lipca 1939 r. o ułatwieniu przysposobienia małoletnich częściowo ten problem uregulowała. Mianowicie art. 12 ustawy postanowił, że w skróconych wyciągach z aktu urodzenia, oraz w dokumentach osobistych przysposobionego, w których należy wskazać rodziców, wymienia się jako rodziców osoby przysposabiające.

Ustawa ta nie rozstrzygnęła całkowicie problemu liter „NN" ale rozstrzygnęła go częściowo, przynajmniej w stosunku do dzieci adoptowanych w trybie ustawy. Ustawa tutaj rozstrzyga dwie kwestie: a) usuwa miejsce w rubrykach, wskazujących rodziców, w przypadku adopcji dzieci nieznanego pochodzenia, b) w dowodach urodzenia wskazuje jako rodziców osoby przysposabiające. Osiąga więc dwa cele: Jeden, to usunięcie pustych miejsc, drugi, to prezentacja na zewnątrz, wobec świata, dowodów, że dziecko adoptowane jest naprawdę dzieckiem faktycznym adoptujących je.

To też ustawa ta, aczkolwiek krótki jej był żywot, cieszyła się wielkim uznaniem i setki rodzin zastępczych wykorzystało tę ustawę, adoptując dzieci w trybie tej ustawy.

Niestety ustawa ta przestała obowiązywać. Nowe prawo rodzinne, nie przyjęło tych dobroczynnych postanowień. I mimo to nowe prawo rodzinne zawiera daleko idące ułatwienia w przepisach o przysposobieniu, ułatwienia dalej idące, niż przepisy ustawy z dnia 13 lipca 1939 r. Nie widać jednak, aby instytucja adopcji w tej chwili cieszyła się powodzeniem, którego należałoby oczekiwać. Niewątpliwie jest to skutkiem braku odpowiedniego przepisu, regulującego sprawę imion rodziców w dowodach urodzenia.

Skoordynujmy akcję opieki nad dzieckiem

Artykuł dyskusyjny.

Sprawa dziecka wchodzi na porządek dzienny pracy państwowej i społecznej. Mówi się o niej, pisze na jej temat, odbywają się zjazdy i konferencje. Powstają coraz nowe instytucje przeznaczone do opieki nad dzieckiem. To bardzo dobrze. Bo to jedyna droga do odnowy biologicznej i moralnej naszego narodu. Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci było pierwszą instytucją, która tę sprawę stawiała jako zagadnienie publiczne.

Następnym etapem tej pracy musi być stworzenie sprawnego aparatu, wykonywującego tę opiekę. Takiego aparatu, któryby obejmował całość tych zagadnień, wypracował ogólny plan ratownictwa i opieki. Plan ten musi być tak skonstruowany, aby przy największej oszczędności sił ludzkich i środków materialnych zaspokoić jak najwięcej potrzeb dziecka. Musimy bowiem pamiętać, że mamy wielki niedobór demokratycznych sił fachowych i środki nasze są zbyt skromne, aby zaspokoić wszystkie potrzeby dziecka.

Planowanie więc wykonawstwa wychowania i opieki nad dzieckiem winno być skoncentrowane w ręku jednego organu państwowego, lub musi powstać jakaś instytucja dokładnie rozdzielająca i koordynująca tę pracę.

Musimy bowiem zdać sobie sprawę z tego, że:

1) armia dzieci potrzebujących pomocy całkowitej sięga około 2 milionów osób, a przynajmniej drugie tyle dzieci czeka na pomoc częściową;

2) zasięg tej pomocy jest daleko szerszy niż w normalnych czasach (trzeba dziecko nakarmić, obuć, ubrać, dać mu mieszkanie, wychowanie, naukę, rozrywkę i leczyć je) — musimy wyrównać niedobory wojenne;

3) przemiany społeczno-gospodarcze, jakie kraj nasz przeżywa, zmuszają nas do przerewidowania całego stosunku do spraw wychowania i opieki;

4) nie mamy jeszcze wyobrażenia o roli organów państwowych, samorządowych, instytucyj społecznych i osób prywatnych w dziale wychowania i opieki nad dziećmi;

5) przeżywamy pewien zalew powstawania drobnych instytucyj opiekujących się dziećmi całkowicie lub centralnie, opiekujących się dzieckiem na marginesie innej swojej pracy. Stwarza to olbrzymi chaos, nie zapewnia koniecznej fachowości, lub wręcz demoralizuje tak wykonawców opieki jak i podopiecznych, wreszcie powoduje trwonienie środków i rozstrzelenie sił.

Za najwłaściwsze rozwiązanie tych zagadnień uważam stworzenie specjalnego Ministerstwa Matki i Dziecka. Podobnie jak ongiś stworzyliśmy pierwsze w świecie ministerstwo oświaty (Komisja Edukacji Narodowej) i pierwsze ministerstwo zdrowia (Najwyższa Dyrekcja Lekarska Ks. Warszawskiego), tak i dziś dalibyśmy światu piękny przykład.

Ministerstwo to zajęłoby się sprawami populacji, eugeniki, przysposabiania matek i całokształtem spraw dziecka do lat 7 czy 10-ciu, przekazując je z kolei Ministerstwu Oświaty i innym resortom.

Innym wyjściem byłoby przekazanie całości spraw dziecka, od momentu jego poczęcia, Ministerstwu Oświaty. Winno ono wtedy zmienić nazwę na Ministerstwo Wychowania i Oświaty. Przeraża mnie tylko zbyt wielki zakres pracy tego urzędu.

Wreszcie trzecim i najszybszym sposobem koordynacji tych spraw może być powołanie Komitetu Ministrów dla Spraw Wychowania i Opieki nad Dzieckiem. W skład tego Komitetu weszliby zainteresowani ministrowie: Oświaty, Pracy i Opieki Społecznej, Zdrowia, Kultury i Sztuki, Przemysłu (gdyż i ten zajmuje się dzisiaj opieką nad dzieckiem), Skarbu, Aprowizacji i Handlu (zaopatrzenie dziecka) i Administracji Publicznej (udział samorządu), mogłyby być dopuszczone instytucje społeczne, zajmujące się wyłącznie dziećmi i działające na obszarze całego państwa.

Do zakresu pracy tego Komitetu należałoby:

a) ustalenie ogólnego planu prac opiekuńczo-wychowawczych w Państwie oraz ustalenie jednolitych zasad działalności dla wszystkich organów rządowych, samorządowych i instytucyj społecznych w zakresie wychowania i opieki nad dzieckiem;

b) podział i koordynacja działalności wychowawczej i opiekuńczej nad dziećmi organów państwowych, samorządowych i instytucyj społecznych;

c) inicjowanie, opiniowanie i uzgadnianie projektów ustaw i rozporządzeń, dotyczących ochrony prawnej matek, dzieci i młodzieży oraz ich położenia moralnego i materialnego;

d) ustalenie kwot pieniężnych i środków w naturze niezbędnych, w każdym roku budżetowym, dla zaspokojenia w Państwie potrzeb w zakresie wychowania i opieki nad dziećmi, wskazywanie źródeł pokrycia tych potrzeb, oraz przedstawienie wniosków odnośnie dotacji z budżetu i zasobów rzeczowych Państwa;

e) zestawianie rocznych sprawozdań z akcji opieki nad dziećmi, obejmujących działalność państwa, samorządów i instytucyj społecznych.

Powołanie takiego Komitetu nie wymagałoby rozwlekłej drogi ustawodawczej, nie powodowałoby żadnej zmiany strukturalnej władz państwa i nie zobowiązywałoby ustawodawczo. Ustanowienie tego Komitetu może być dokonane w drodze zwykłego rozporządzenia Rady Ministrów. Stworzyłoby możność i obowiązek zejścia się co pewien czas zainteresowanych ministrów dla uzgodnienia ich pracy. A sprawa dziecka dużo na tym zyska. Pisząc o tych sprawach trzeba ustosunkować się do projektu powołania Państwowej Rady Wychowania, wysuwanego przez Ministerstwo Oświaty. Jesteśmy za powołaniem takiej Rady, ona jest potrzebna. Ale trzeba sobie zdać sprawę, że taka Rada jest zupełnie czymś innym niż proponowany Komitet. Ona może tylko ustosunkowywać się do projektów rządowych i do ogólnych wytycznych w sprawie wychowania i opieki, ale właśnie te projekty, te ogólne wytyczne musi ktoś przetrawić, przepracować i podać Radzie do zaopiniowania. To jest co innego niż koordynacja pracy bieżącej. Zresztą Państwowa Rada Wychowania to ciało duże, niemrawe, zbierające się 1 — 2 razy do roku, a to potrzeba decyzji szybkich, często dotyczących spraw codziennych, dotyczących wykonawstwa.

Tyle o koordynacji pracy wychowawczej na górze.

Niemniej naglącą jest sprawa koordynacji tej pracy w terenie. Tu pozwalam sobie wysunąć koncepcję oparcia tej koordynacji

o Rady Narodowe i proponuję powołanie w każdym województwie, w każdym powiecie i gminie zarówno wiejskiej jak i miejskiej Komitetów Koordynacyjnych do Spraw Opieki nad Dziećmi. W skład takich Komitetów wchodziłoby 2 — 3 — 5 przedstawicieli Rady Narodowej odpowiedniego stopnia, przedstawiciel władzy szkolnej (Kurator, Inspektor, Kierownik szkoły), przedstawiciele Opieki Społecznej, zdrowia, urzędu aprowizacyjnego i przedstawiciele R.T.P.D., Ch. T. P. D. i odpowiedniego K. O. S. i tam wspólnie naradzaliby się nad sposobami najskuteczniejszego przyjścia dziecku z pomocą.

Występując z tą inicjatywą nie rościmy sobie prawa do tego, że nasze sposoby są najlepsze, ale jesteśmy głęboko przekonani, że sprawa planowania tej pracy, sprawa konieczności jej koordynacji jest nakazem chwili, że odkładanie jej, że wszelkie przewlekłe mędrkowanie nad nią może Państwo Polskie, Naród Polski, a przede wszystkim Dziecko Polskie drogo kosztować.

Tu musimy się śpieszyć.

ELŻBIETA RUTKOWSKA

Ochrona pracy kobiet i młodocianych

Ochrona pracy kobiet i młodocianych od zarania powstania Państwa Polskiego po pierwszej wojnie światowej uważana była za jedno z najważniejszych zagadnień w polityce socjalnej, a ze względu na swą wagę i specyficzne okoliczności potraktowana została odrębnie od ochrony robotników mężczyzn, podobnie zresztą jak we wszystkich krajach europejskich. Znalazło to swój wyraz z jednej strony w Ustawie z dnia 2 lipca 1924 r. w przedmiocie pracy kobiet i młodocianych, z drugiej strony w spisie robót wzbronionych kobietom i młodocianym.

Równocześnie przy Okręgowych Inspektoratach Pracy, jak i przy Głównym Inspektorze Pracy powołane zostały podinspektorki do spraw kobiet i młodocianych, których zadaniem jest pogłębianie zagadnień związanych z pracą kobiet i młodocianych, przeprowadzanie prac badawczych nad szkodliwością produkcji w niektórych gałęziach przemysłu, nad znużeniem przy pracy, spowodowanym czy to przez pozycję stojącą, czy też przez nadmier-

ne obciążenie pracą, czuwanie wreszcie nad wykonaniem obowiązujących ustaw na tym odcinku ochrony pracy.

Dziś, w okresie powojennym, wobec straszliwego wyniszczenia ludności, wobec olbrzymich strat w materiale ludzkim, fatalnego stanu zdrowia młodzieży, olbrzymiej śmiertelności wśród dzieci, ochrona kobiety pracującej, kobiety-matki i jej dziecka, opieka nad zatrudnioną młodzieżą, nad jej zdrowiem i kształceniem zawodowym wysuwa się na czoło zagadnień natury państwowo-gospodarczej.

Zmieniła się struktura naszego kraju. Zniknął kapitał prywatny. Większość fabryk została upaństwowiona. Wyzysk pracy robotnika przez pracodawcę należy do niepowrotnej przeszłości.

Niemniej ochrona pracy robotnika, ochrona kobiety pracującej i młodzieży nic nie straciła na swej aktualności, nic na swej żywotności. Wręcz przeciwnie, zakreślać powinna coraz szersze kręgi, wybiegać poza obowiązujące jeszcze ustawy, ustawy przestarzałe, nie odpowiadające istotnej ochronie robotnika, ani duchowi czasu, a wobec nowej rzeczywistości nie napotyka już na swej drodze na opory kapitalisty, na hamulce spowodowane kompromisową polityką rządów przedwojennych.

To też mówiąc o ochronie pracy kobiet i młodocianych należy naświetlić działalność Inspekcji Pracy na tym odcinku, a w szczególności działalność inspektorek do spraw kobiet i młodocianych, oraz zobrazować dotychczasową jej pracę, jak i cele i zamierzenia na najbliższą przyszłość w kolejności do poszczególnych zagadnień.

Roztoczenie opieki nad dzieckiem kobiety pracującej, umożliwienie matce karmienie własną piersią niemowlęcia w czasie jej pracy — stało się naczelnym zadaniem inspekcji kobiecej.

Przystąpiono więc energicznie do zakładania żłobków przyfabrycznych w zakładach zatrudniających powyżej 100 kobiet, które ustawowo żłobek dla niemowląt powinny zorganizować i utrzymywać.

I jeśli w chwili obecnej, pomimo kilku zaledwie miesięcy od rozpoczęcia tej akcji, pomimo braku odpowiednich lokali, trudności aprowizacyjnych, trudności wyposażenia żłobków w mebelki, sprzęt kuchenny, materiały tekstylne, pomimo braku wykwalifikowanych pielęgniarek, czynnych już mamy 69 żłobków i 20 fabrycznych stacji opieki nad matką i dzieckiem, oraz 42 żłobki rejo-

nowe, z których większość przypada na Łódź, która przed wojną nie posiadała ani jednego żłobka — to przyznać trzeba, że jest to znaczny dorobek, zwłaszcza w porównaniu ze stanem przedwojennym 40 żłobków, 175 stacji na całą Polskę.

Nie zadawalamy się jednak tym fragmentem ochrony macierzyństwa, stojąc twardo na stanowisku, że każda kobieta pracująca, niezależnie od tego, czy jest zatrudniona w dużym, czy też małym zakładzie pracy, winna mieć zapewnioną opiekę nad swym dzieckiem i to nie tylko do 18 miesięcy, lecz do wieku szkolnego i, że opieka ta powinna obejmować dziecko jeszcze przed jego urodzeniem, a więc matkę ciężarną.

Ustawodawstwo nasze nie pozwala na rozwiązanie służbowego stosunku pracy na 6 tygodni przed porodem, oraz przed upływem 6 tygodni po porodzie, gdy tymczasem we Włoszech robotnica, która wykaże się świadectwem lekarskim, że jest w ciąży, nie może zostać zwolniona z pracy przez cały czas ciąży, a po rozwiązaniu przez czas ustawowo określony.

Dążymy do zmiany ustawy w przedmiocie pracy kobiet i młodocianych z 1924 roku, do rozciągnięcia obowiązku zakładania żłobków na zakłady pracy, zatrudniające 100 robotników, nie zaś jak dotychczas 100 kobiet, o ile w danym zakładzie pracy jest co najmniej 10 dzieci, do przedłużenia okresu nieusuwalności z pracy kobiety ciężarnej.

Życie jednak, wobec ciężkich warunków bytowania szerokich mas pracowniczych, wymaga akcji natychmiastowej. To też po porozumieniu się z Wydziałem Socjalnym Ministerstwa Przemysłu przystąpiono do rozszerzenia dotychczasowej opieki nad dziećmi robotnic na zakłady zatrudniające poniżej 100 kobiet, niezależnie od tego, czy właścicielem ich jest Państwo, czy osoba prywatna. Ministerstwo Przemysłu zarządziło, by żłobki i stacje funkcjonujące już przy większych zakładach pracy, objęły swym zasięgiem nie tylko dzieci fabryki macierzystej, lecz również dzieci zakładów sąsiednich. Tworząc w ten sposób żłobki i stacje rejonowe, zapewni się świadczenia, wynikające genetycznie z ustawy w przedmiocie pracy kobiet i młodocianych, zarówno dzieciom, których matki pracują w zakładach zatrudniających powyżej 100 kobiet, jak dzieciom matek pracujących w zakładach mniejszych.

Z tego co powiedziałam wydawaćby się mogło, że wystarczy założyć sieć żłobków, a zapełnią się one gwarem i szczebiotem tych maluczkich naszych obywateli kraju. Niestety, sprawa ta ma i drugi aspekt. Niechętny stosunek robotnic do żłobków, obawa, że jest to oderwanie dziecka od rodziny.

I, by przeorać psychikę robotnicy, by odpowiednio uświadomić, oświecić, należy poprowadzić szeroko zakrojoną akcję propagandową poprzez Rady Zakładowe, Związki Zawodowe i lekarzy fabrycznych.

Przechodząc z kolei do omówienia ochrony pracy kobiet w ścisłym tego słowa znaczeniu, podkreślić należy, że okres początkowy na skrawku Wyzwolonej Polski oraz pierwsze miesiące po całkowitym wypędzeniu okupanta z kraju był właściwie przekreśleniem obowiązujących ustaw w tej dziedzinie. Ochrona pracy kobiet w istocie nie istniała. Praca nocna, praca w godzinach nadliczbowych, przy robotach szkodliwych dla zdrowia i niebezpiecznych dla życia stosowana była powszechnie, zarówno w fabrykach państwowych, jak i prywatnych, często nawet tam, gdzie interes Państwa i potrzeby wojska tego nie wymagały.

Na szczęście zmora wojny jest już poza nami. Życie normalizuje się coraz bardziej — to też Inspekcja Pracy przystępuje z całą bezwzględnością do uzdrawiania stosunków w zakładach pracy, do restytuowania obowiązujących przepisów prawnych.

Zdajemy sobie jednak doskonale sprawę, że i w dzisiejszych warunkach konieczne są nieraz odstępstwa, konieczna pewna tolerancja, ale za wiedzą i zgodą Inspekcji Pracy.

Domagamy się, zgodnie z ustawą, skasowania pracy nocnej kobiet, stosowanej jeszcze w poszczególnych zakładach pracy. Nocna bowiem praca, sprzeciwiająca się prawom fizjologicznym natury, niszczy organizm, a odpoczynek nocny nie może być nigdy zastąpiony dziennym, zwłaszcza w warunkach mieszkaniowych naszych robotników.

Dążymy do zaniechania zatrudniania kobiet w godzinach nadliczbowych, praca bowiem kobiety nie kończy się z chwilą wyjścia jej z fabryki. Czeka ją w domu jeszcze mnóstwo roboty i to nie byle jakiej: gotowanie, pranie, sprzątanie, szorowanie, szycie, karmienie i wychowywanie dzieci. Dzień jej pracy rozpoczyna się ze świtem, kończy się nieraz późno w nocy.

Domagamy się również, by kobiety nie były zatrudniane przy robotach objętych spisem robót wzbronionych, szkodliwych nie tylko dla ich zdrowia, lecz i dla potomstwa. Obserwacje lekarzy, badających periodycznie robotników zatrudnionych przy robotach szkodliwych są alarmujące, zwłaszcza w odniesieniu do kobiet. Ten stan rzeczy może spowodować nieobliczalne straty dla państwa, przyczyniając się do dalszego wyniszczenia kobiet i młodzieży i tak już wyczerpanych okresem wojennym.

Jednym z najważniejszych naszych dalszych zadań to walka ze znużeniem przy pracy. Składa się na nie cały szereg elementów, jak: praca w pozycji stojącej, niewłaściwa pozycja przy pracy, praca akordowa, oraz wysokie normy wydajności, powodujące nadmierne tempo pracy, lub też przeciążenie pracą, spowodowane zbyt wielką obsługą maszyn, praca bez przerwy obiadowej, złe warunki higieniczne itp.

Ogólnie jest wiadomym, że pozycja stojąca przy pracy jeśli się przeciąga, męczy organizm bez względu na płeć i wiek. Pracownik czuje znużenie, jakby bolesność pewnych mięśni, skłonny jest do obolałej płaskiej stopy, do żylaków, a kobieta nadto do chorób kobiecych. Należy jednak pamiętać, że i stała pozycja siedząca nuży i męczy organizm. Wskazanym więc jest, by robotnica mogła zmieniać od czasu do czasu pozycję.

Akcja posadzenia kobiet przy pracy przy całym szeregu robót, które doskonale dadzą się wykonać w pozycji siedzącej, wszczęta w dawnych czasach przez inspektorki do spraw kobiet i młodocianych, napotykała na ogromne trudności zarówno ze strony pracodawców, jak i samych robotnic.

Trudno o większego konserwatystę, jak robotnik w pracy. Wszelka inowacja, zmierzająca do pewnych zmian w utartym zwyczaju, czy to będzie osłona piły tarczowej, czy zmiana pozycji przy pracy, napotka zawsze na zasadniczy sprzeciw, na czynny opór. Robotnik boi się, że wpłynie to na zmniejszenie jego wydajności na niższy zarobek, że dobrze jest tak, jak jest. Trzeba perswazji, argumentów, że jest wręcz odwrotnie, że wydajność nie tylko się nie zmniejszy, lecz wzrośnie, gdyż znacznie zmaleje znużenie, zwłaszcza w końcowych godzinach pracy.

Są jednak prace, przy których, przy dzisiejszym stanie techniki, robotnicy posadzić się nie da. Są jednak i takie prace, związane z obsługą maszyn, przy których robotnica jest stale w ruchu, ma jednak chwile wolne, podczas których doskonale mogłaby usiąść i sekundę odpocząć, co dodatnio wpłynie na jej samopoczucie. Trzeba jej więc umożliwić wykorzystanie tych krótkich przerw w pracy i dać jej odpowiedni stołek. Stołki wypoczynkowe muszą być stawiane lub umocowane we właściwych jednak miejscach, by nie przeszkadzały w pracy.

Na znużenie w niemniejszym stopniu wpływa praca akordowa, powodująca nadmierne tempo, jak też wysokie normy wydajności, zwłaszcza w pracy zespołowej lub przy płynnej taśmie, gdzie każda robotnica, wykonywująca fragment całości, musi ruchy swe mieć do maksimum zmechanizowane i zsynchronizowane ze swymi towarzyszkami pracy.

Należy więc temu się przeciwstawić i dążyć do zredukowania nadmiernych norm wydajności, lub zmniejszenia liczby obsługiwanych maszyn.

Ustawowo jest również przewidziane, że najdalej po 6 godzinach pracy stosowana być powinna przerwa nie krótsza, niż jednogodzinna. Przepis ten jest bardzo często łamany na żądanie samych robotników, którzy wolą pracować bez odpoczynku, lub z krótką 15 — 20 minutową przerwą na obiad, byle prędzej opuścić mury fabryczne. A przecież ta godzinna przerwa w pracy, w czasie której robotnik może spokojnie spożyć obiad i wypocząć — to jeden z podstawowych czynników walki ze znużeniem i nieszczęśliwymi wypadkami i ważny atrybut w dążności do zwiększenia wydajności pracy. Musi to zrozumieć przede wszystkim robotnik, a pracodawca wypełnić ustawowy obowiązek.

W zakładach pracy zwraca się nadto uwagę na warunki higieniczne; przewietrzanie sal. należyte oświetlenie, na odzież ochronną przy robotach brudnych lub mokrych, na urządzenia kąpielowe, szatnie, umywalnie.

Ochrona pracy kobiety ciężarnej zasługuje na specjalną uwagę, zwłaszcza w okresie powojennym ze względów populacyjnych.

Powszechnie wiadome jest, że wpływ ciąży na organizm kobiety jest olbrzymi. Cała gospodarka ustroju jest zakłócona, a każda ciężarna jest przez własną ciążę zatruta. Wobec tych tak wiel-

kich zmian w organizmie kobiety ciężarnej, wobec jej wrażliwości na czynniki chorobotwórcze, kobieta w stanie odmiennym musi być otoczona szczególną opieką. Nie powinna narażać się na żadne wysiłki, przeciążenia, zatrucia.

Domagać się należy przeto przenoszenia robotnic ciężarnych do prac lżejszych, możliwie w pozycji siedzącej, do ścisłego przestrzegania wszystkich przerw w pracy, wynikających z mocy ustawy. Nadto koniecznym jest, by robotnica w tym okresie była pod stałą opieką lekarza-ginekologa, zaangażowanego przez fabrykę.

Ochrona pracy młodocianych w odniesieniu do czasu pracy, jak i do zakazu zatrudniania przy pracach objętych spisem robót wzbronionych młodocianym, pokrywa się z małymi wariantami z ochroną pracy kobiet, z tą jednak różnicą, że zatrudnienie młodocianych w godzinach nadliczbowych i w nocy jest bezwzględnie wzbronione.

Występują tu jednak i nowe momenty, jak badania lekarskie, dokształcanie, oraz nauka zawodu, które również w obecnej dobie powojennej nabierają wyjątkowego ciężaru gatunkowego.

Zdrowie młodego, dorastającego pokolenia, tych przyszłych budowniczych Polski, zostało wyniszczone przez lata wojny, przez okres okrutnej okupacji. A wszak ta młodzież dorastająca stanowić będzie o tężyźnie naszego narodu, o potencjale obronnym kraju.

Zgodnie z ustawą nie wolno przyjąć do pracy młodocianego pracownika bez świadectwa lekarskiego, stwierdzającego jego zdolność do danej pracy. Do badań tych zostali wyznaczeni lekarze Ubezpieczalni Społecznych. Nie wystarczy jednak stwierdzić, że młodociany w chwili przystąpienia do pracy jest zdrów. Pamiętać trzeba o podatności i wrażliwości młodego organizmu na szkodliwe działania niektórych gałęzi przemysłu. Stąd konieczność periodycznych badań lekarskich w okresie pracy, oraz specjalnego dożywiania młodzieży.

I pomimo tylu lat obowiązujących w tym względzie przepisów spotyka się jeszcze teraz w wielu fabrykach zatrudnionych młodocianych, którzy w ogóle nie byli badani przez lekarzy, a kierownicy fabryk przy wizytacji zakładów ze zdziwieniem dowiadują się od inspektorów pracy o ciążącym na nich obowiązku kierowania młodocianych do lekarza przed przyjęciem do pracy.

Każdy kierownik fabryki obeznanym być musi z ustawodawstwem socjalnym, inaczej — zdaniem naszym — nie może zostać kierownikiem zakładu pracy, gdyż on właśnie, a nie kto inny, odpowiedzialnym jest za całokształt prac fabrycznych.

Na największe jednak trudności ze strony przemysłu państwowego, jak i prywatnego, jak i ze strony rzemiosła, napotyka wykonanie obowiązku szkolnego przez młodocianych.

Nowy dekret o 18-godzinnym tygodniu nauki, spowodowany powojenną sytuacją gospodarczą, brakiem sił fachowych, a co zatym koniecznością jak najszybszego wyszkolenia nowego narybka wysoko wykwalifikowanych pracowników, spowodował masowe usuwanie młodocianych z fabryk, nieprzyjmowanie nowych, lub w ogóle nieposyłanie ich do szkół.

Zdajemy sobie sprawę, że konieczność zwalniania młodocianych pracowników i uczniów na 18 godzin tygodniowo dezorganizuje pracę w fabrykach, gdyż są oni nieraz tak ściśle wplątani w prace zespołu, że luka spowodowana ich nieobecnością powoduje zamęt i chaos w pracy. Zdajemy sobie jednak również sprawę, że tylko przy 18-godzinnym tygodniu nauki można postawić szkolenie zawodowe na należytym poziomie, podnieść poziom naukowy, a co zatym i etyczny naszej młodzieży, tak zaniedbanej pod tym względem przez lata okupacji.

Dekret o 18-godzinnym tygodniu nauki nie może pozostać martwą literą, musi wejść w życie w całej rozciągłości, a przede wszystkim musi być realizowany przez przemysł państwowy. Muszą się też znaleźć sposoby, by wykonanie tego rozporządzenia przeszło z jak najmniejszymi wstrząsami dla przemysłu.

Najlepszym wydaje się projekt Ministerstwa Oświaty, by każde miejsce praktykanckie obsadzone było przez dwóch uczniów; wówczas jeden z nich będzie w szkole, drugi w zakładzie pracy. Kwestią drugorzędną byłby już sposób rozwiązania tego problemu w zależności od rodzaju gałęzi przemysłu, np. tydzień w szkole, tydzień w pracy, lub 3 dni w szkole, 3 dni w pracy. W konsekwencji pociągnąćby to musiało wprowadzenie 2-ch równoległych klas w szkołach dokształcających, a to celem utrzymania ciągłości nauki.

Wówczas zakłady przemysłowe, przyjmując podwójną liczbę praktykantów w stosunku do wolnych miejsc, będą miały zawsze

ucznia w warsztacie, a jednocześnie wyzyskując w pełni wolne miejsca praktykanckie będą mogły kształcić równocześnie podwójną liczbę fachowców.

Jesteśmy świadomi wszystkich trudności, jakie za sobą pociąga nowy dekret, rozumiemy jednak dobrze, że szkolenie fachowców jest nakazem chwili i że w tym wypadku cel uświęca środki.

HANNA SZYMAŃSKA

Opieka nad dzieckiem i kobietą w Związku Radzieckim

W Zw. Radzieckim troska o kobietę i dziecko należy do jednego z najważniejszych zadań Państwa.

Konstytucja Radziecka zabezpiecza kobiecie wszystkie prawa na równi z mężczyzną, a dziecku daje prawo pełnego rozwoju. Mówi ona: „Kobiecie przysługuje równe z mężczyzną prawo do pracy, do płacy, do wypoczynku, do ubezpieczenia społecznego, do nauki, do opieki państwowej nad matką i dzieckiem, do płatnych urlopów w okresie ciąży, rozległej sieci zakładów położniczych, żłobków i przedszkoli".

I istotnie — kobieta bez względu na to, czy to jest robotnica, czy też pracownica umysłowa, mająca dzieci, jest zupełnie spokojna, że jej potomstwo w godzinach pracy zawodowej znajduje doskonałą opiekę, zależnie od wieku, czy to w żłobku, czy w przedszkolu, czy też w szkole.

Wszystkie reformy, ulepszające stale dolę dziecka w Zw. Radzieckim są przeprowadzane przy czynnym udziale samych kobiet, najlepiej znających własne potrzeby i doskonale zdających sobie sprawę, co należy zapewnić dziecku, aby mogło normalnie się rozwijać.

W Zw. Radzieckim istnieją specjalne domy wypoczynkowe dla kobiet ciężarnych, w których przyszłe matki znajdują całkowitą opiekę. Mają zapewnienie swego losu, jak również i losu dziecka, co wytwarza warunki, w których czują się dobrze. Kobieta wie, że przerwana praca czeka na nią. Wie, że specjalne dekrety

państwowe nakazują urządzanie żłobków i przedszkoli przy fabrykach i miejscach pracy, a więc ma zapewnioną możność karmienia dziecka, tymbardziej, że oprócz normalnych przerw obiadowych korzystać będzie z półgodzinnych przerw w pracy, aby samej karmić w oznaczonych godzinach dziecko.

Każda kobieta, będąca w ciąży, udaje się do specjalnej poradni, gdzie jest najdokładniej zbadana i poinformowana, jaki tryb życia najlepiej odpowiada jej stanowi, a jaka praca jest stanowczo wzbroniona. Poza tym poradnia udziela wiadomości w sprawie pielęgnowania noworodka.

Organizują się specjalne „Szkoły Macierzyństwa", w których przyszła matka zdobywa te wszystkie wiadomości, które będą jej w życiu potrzebne. Istnieją specjalne poradnie prawne, gdzie specjalista prawnik poucza kobietę o prawach, jakie jej przysługują.

Ogromną opieką otacza prawodawstwo radzieckie matki samotne. Specjalny dekret o ochronie matki samotnej ogłasza, że otrzymuje ona państwową pomoc na utrzymanie i wychowanie dziecka... W miarę wzrastania ilości dzieci wysokość pomocy państwowej wzrasta. W dekrecie tym jest powiedziane, że jeżeli matka samotna chce umieścić dziecko na wychowanie w zamkniętym zakładzie, to przechodzi ono całkowicie na utrzymanie państwa.

Od 1930 roku zaczęły powstawać kobiece poradnie, otaczające opieką kobietę nie tylko na okres ciąży i karmienia, ale i na przeciąg całego życia. Wszelkiego rodzaju pomoc, wypływająca z tego tytułu jest zupełnie bezpłatna. Sprawa poronień jest traktowana bardzo surowo: łączy się to z populacyjną polityką Państwa, które ułatwia wszelkimi sposobami rozrodczość. Zw. Radziecki postawił sobie za zadanie tak zorganizować sieć opieki nad kobietą, aby nie było ani jednej kobiety pozbawionej opieki lekarskiej, ani w mieście, ani na wsi, i aby ta opieka zabezpieczała całkowicie przyszłe zdrowie dziecka.

Poradnie dziecinne stawiają sobie jako podstawowy cel dopomożenie rodzinie wychować dziecko na pełnowartościowego, zdrowego, pracowitego człowieka. Metoda pracy opiera się na przestrzeganiu aktywnego stosunku do zagadnienia, czyli na zapewnieniu wszystkim dzieciom danego okręgu opieki, polegającej w pierwszej linii na systematycznym badaniu lekarskim. Poza tym wymaga się bardzo stanowczo, aby matki przynosiły jak naj-

wcześniej i w pewnych stałych terminach dzieci do badania, bo taka ciągłość opieki daje pożądane rezultaty. Poradnie powyższe mają wyraźnie charakter profilaktyczny. Urządza się w nich cykle wykładów dla matek z zakresu higieny żywienia dziecka i ogólnej higieny. Stałość opieki lekarskiej pozwala na uchwycenie właściwego momentu do zastosowania leczenia sanatoryjnego w tych wszystkich wypadkach, gdy choroba jest jeszcze w stadium początkowym i zapewnia otrzymanie jak najlepszych rezultatów. Za pośrednictwem pielęgniarek poradnie utrzymują stały kontakt z domem dziecka i przestrzegają, aby wszystkie wskazania lekarza były stosowane.

Żłobki w Zw. Radzieckim są traktowane jako pomoc udzielana kobiecie, aby ona mogła na równi z mężczyzną brać udział zarówno w pracy zawodowej, jak i w życiu społecznym i politycznym z jednej strony, a z drugiej, aby mogła wychować zdrowe pokolenie.

Dekret z dnia 8.VII.1944 roku nakazuje pokryć kraj taką siecią żłobków, aby mogły się w nich zmieścić wszystkie dzieci potrzebujące opieki. Żłobki muszą być dostosowane do potrzeb życia i mogą dzieci pozostawać w żłobku poza godzinami pracy matek. A więc są tak zwane grupy „dnia przedłużonego", aby matki, jeżeli tego sobie życzą, mogły się kształcić i podnosić swój poziom kulturalny. Dziecko w żłobku ma system odżywiania przygotowany całkowicie przez lekarza — a matka swobodnie układa sobie życie. Są również tak zwane „grupy tygodniowe" dzieci, które przebywają cały tydzień w żłobku i są zabierane do domu tylko na niedzielę. Dotyczy to przede wszystkim dzieci kobiet pracujących na nocną zmianę. Żłobki mają również Oddziały specjalne, przeznaczone wyłącznie dla chorych. Mieszczą się one w oddzielnych, specjalnie na ten cel przeznaczonych pomieszczeniach. Żłobki mają Oddziały sanatoryjne dla dzieci specjalnie wątłych w zdrowotnych miejscowościach. Chcąc zachować jak najbliższy kontakt między matką a dzieckiem, żłobki wprowadzają dyżury matek. Przy żłobkach powstaje często specjalny komitet, składający się z lekarza, kierowniczki żłobka, pielęgniarki i rodziców, aby zacieśnić kontakt pomiędzy wszystkimi czynnikami wychowującymi dzieci, co wpływa bardzo dodatnio na wyniki prac.

Ważną rolę grają żłobki po wsiach. Każdy kolektyw jest obowiązany mieć własny żłobek obsługiwany przez personel wykwa-

lifikowanych pielęgniarek, pochodzących ze wsi. Dla dzieci przy piersi organizują się żłobki polne, ruchome, które wyjeżdżają rano w pole z całym aparatem, potrzebnym dla codziennego przebywania w miejscu pracy matek. Żłobki w miastach są utrzymywane przez samorządy, a we wsiach przez kolektywy.

Domy dziecka są przeznaczone przede wszystkim dla sierot po żołnierzach, partyzantach i po ofiarach wojny w ogóle. Właściwie są to domy, w których dzieci przebywają czasowo, do momentu, w którym nie zostaną wzięte do rodziny, mającej zastąpić matkę i ojca.

W Okręgu Uzbekistanie 11.000 dzieci zostało usynowionych po wojnie. Liczne rodziny biorą sieroty „na patronat" i otrzymują od Państwa pomoc materialną. Matka umieszczająca dziecko w takim *„Domu"*, zachowuje z nim najbliższy kontakt, gdy zechce, w każdej chwili może je zabrać. Matka chora może na czas swej choroby umieścić swe dziecko w takim *„Domu"* i zabrać, gdy do zdrowia powróci.

Od lekarzy pediatrów wymaga się następujących zadań:

1) przeprowadzania badań nad przyczynami śmiertelności dzieci i zachorowań dziecinnych, oraz nad stanem zdrowia dzieci;

2) przeprowadzania kontroli nad pracami zakładu, mającymi za zadanie ochronę zdrowia dziecka;

3) opracowania metod, zmierzających do podniesienia poziomu kwalifikacji personelu opiekuńczego i zastosowania tych metod w życiu;

4) udzielania pomocy organizacjom w sprawie wypracowania środków, zmierzających do polepszenia ogólnych warunków pobytu dzieci w danej miejscowości i usuwania wszystkich niedociągnięć w zakresie ochrony macierzyństwa, dzieci i młodzieży.

Ministerstwo Zdrowia posiada Radę leczniczo-zapobiegawczą pomocy dzieciom i Radę pomocy porodowej, w skład której wchodzą:

a) wybitni profesorowie, uczeni i członkowie Akademii, pediatrzy i ginekolodzy,

b) pracownicy z zakresu ochrony zdrowia kobiety i dziecka, oraz pedagogowie,

c) pracownicy kierowniczych komórek zarządów pomocy porodowej i leczniczo-zapobiegawczej pomocy dla dzieci.

* * *

Na zakończenie pragnę zaznaczyć, że Zw. Radziecki zawsze dąży do przeprowadzania całkowitych rozstrzygnięć tych zagadnień, które uważa za podstawowe dla życia narodu i państwa. Obce mu jest połowiczne załatwianie spraw. Do takich podstawowych zagadnień należy zagadnienie dziecka i kobiety, które znalazło prawne ujęcie w Konstytucji Radzieckiej. W praktyce robi się wszystko, aby rzeczywistość odpowiadała jak najpełniej temu ideałowi, jaki zawiera w sobie Ustawodawstwo Radzieckie. Logicznie skonstruowane metody i konsekwentnie przeprowadzany plan działania — realizują to, co zostało uznane jako baza ideowa. Wytwarza to jednolitość frontu poczynań na danym odcinku pracy, zapobiega wielotorowości i chaosowi, stwarza tą drogą mocny fundament nowego ustroju, który zyskuje w ten sposób możność stałego udoskonalenia raz powziętego kierunku.

REGINA RUDZIŃSKA

Trzy Matki

Nieszczęście. 18-letniej matce urodził się synek. A matka jest sama. Rodzice zginęli na Woli, wraz z tłumem innych wysieczonych przez Niemców podczas powstania. Starsza siostra wywieziona — słuch o niej zaginął. A Zenon, ojciec dziecka, wyjechał na Zachód — jak tylu innych — nim jeszcze dziecko na świat przyszło. Nastka więc jest sama. Musi na siebie i dziecko zarobić, ale maleństwo ją wiąże. Czasem budzi się w jej sercu jakiś tkliwy szmer, ale na ogół dziecka nienawidzi. Pragnie z całej duszy, by umarło. Marzy o tym, by ciężko zachorowało, żywi je byle czym, kaszą jęczmienną. Ale dziecko, choć mizerne, żyje i żyje. To znów chwyta ją obłędna myśl — rzucić gdzieś w kąt, a samej wiać, wiać, dokąd oczy poniosą. Ale odwagi na ten czyn nie ma, no i pieniędzy i oparcia w szerokim świecie. Więc tylko podrzuca dziecko na parę dni jakiejś sąsiadce, wyjeżdża lub znika na parę dni i... znów wraca. A są-

siadki — jak wiadomo — litościwe. Każda pobawi się dzieckiem, jak lalką przez parę dni, a potem znów dziecko do matki wraca. Władeczek chudziutki, mizerniutki, lecz żyje, tylko mu te czarne oczka się świecą. Nareszcie, nareszcie po 6-ciu miesiącach takiego życia trafiło dziecko do Janowej, która jest bezdzietna i dziecko zapragnęła wziąć za swoje — na zawsze. Zawarto umowę. Nastka zrzekła się praw do dziecka, dziecko zostało u Janowej i z Władka z miejsca zrobił się Janek, bo tak chciała druga jego matka. A Nastka poczuła się na wolności.

Druga matka formalnie oszalała dla dziecka. Nie było dla niej nic ponad dzieckiem. Ubrała pięknie, czuwała w dzień i w noc, karmiła, karmiła — nie brakło mleka, nie brakło cukru i tego wszystkiego, co kazała pani doktór w Higienie. Dziecko z małego trupka zrobiło się cudnym, nad podziw rozwiniętym chłopcem. Janowa promieniała: „mój synek, mój synek" chwaliła się przed sąsiadkami.

Co innego Jan. Bo dziecko kosztuje, w nocy spać przeszkadza, a nade wszystko, wszystkie piękne projekty o chałupie i sklepie — w łeb wzięły. I żona nie tylko do domu nic nie przynosi, ale od niego dla dziecka wyciąga. Więc nacisk. Oddać dziecko matce.

W tym stadium sprawa doszła do mnie.

Wybieram się tedy na Powiśle pod wskazany adres, zabieram ze sobą kandydatkę, która od szeregu miesięcy mnie nachodzi — właśnie o syna 7-miesięcznego. A wiem o tym małżeństwie, że padły tam już gorzkie słowa: „gdybym wiedział, że dzieci mieć nie będziesz, nigdybym się z tobą nie ożenił". Widziałam w tym domu martwe skrzypce, „bo dla kogóż grał będę, gdybym miał syna, grałbym dla niego". Związek małżeński łączy już tylko nitka pajęcza. Tylko dziecko może małżeństwo połączyć do nowego życia.

Zabieram tedy tę kandydatkę na matkę Nr. 3 i pozostawiam ją na ulicy w przyzwoitej odległości od wskazanego adresu. Zastaję w domu cudnego 7-miesięcznego chłopczyka. Zdrowe, tłuściutkie, trochę bladawe, lecz żywe, energiczne dziecko. Rysy zdecydowane, delikatne. Budzi się we mnie szalone pragnienie. Złapać to dziecko i uciec z nim. Zdobywam się jednak na długą, poważną rozmowę, z której wynika, że dla Janowej, albo mąż bez dziecka, albo dziecko bez męża. Ale ja dziecka u kobiety bez męża nie zostawię. Więc chociaż rzewny płacz Janowej rozdziera mi serce,

stawiam twardo sprawę: „pożyczy mi pani wózka, poduszki i kołderki, dziś jeszcze dziecko zabieram". Wiem, że nie mam do tego prawa, że przecież nie mówię z rodzoną matką dziecka, ale sugestia działa. Janowa ubiera dziecko, oblewając każdy kawałek ubrania rzęsistymi łzami: „bo co ja teraz bez niego zrobię, jak ja żyć będę bez mego synka". Szykuje jedzenie na drogę. „Prędzej, prędzej" — boję się, że coś się tu zmienić może, że się rozmyśli. Wzywam sąsiadkę do pomocy, znieść trzeba dziecko z wózkiem z trzeciego piętra.

Płacz Janowej i sąsiadek, jakby z domu wynoszono trumienkę. Janowa całuje mnie po rękach — „byle w dobre ręce, byle w dobre". Już dziecko zniesione. Mężnie pcham wózek pod górę. Ciężko mi, ale pcham. Po 20-stu minutach spotykam matkę Nr. 3. Pokraśniała z radości — „Jaki cudny".

Pchamy odtąd razem — kawał drogi — dziecko szczęśliwie śpi. Ja mam wrażenie popełnionego na Janowej przestępstwa. Ale to przecież dla dobra dziecka.

Po 10-ciu dniach jestem z wizytą u rodziny.

Pokazują mi z dumą papierek. To już nie Władek, nie Janek — to Bogdan. Najformalniej w świecie Bogdan i nie syn Nastki.

Zastaję w domu, w którym już podobno ożyły skrzypce, dwie stare kobiety. To przyjechały z dalekiej wsi obydwie babcie zobaczyć wnuka. Każda mani osobno: „chodź do mnie, chodź do mnie" — i ja staję do konkursu „chodź do mnie". I o cudo! Dwa rozkoszne dołeczki na rumianej buzi, iskrzące się czarne oczka o długich rzęsach i wyraźnie zarysowanych brwiach, wyciągają się do mnie tłuste łapięta. W oszołomieniu biorę dziecko na ręce. — Myślę, to Bogdan — Bog-dan, dany przez Boga. Ach, nie! to za słabe. To powinno być Bożydar, Boży-dar. To dar Boga dla rodziny. I aż zatyka mnie myśl bluźniercza, „a rola moja, czyżby rola pośrednika?"

Uciekam z domu, uciekam przed głębią i ogromem tego zjawiska.

WŁADYSŁAW SALA

Orle Gniazdo na Mokotowskiej Skarpie...

Z pamiętnika kierownika zakładu wychowawczego.

Przecudnie lśni w słońcu wielobarwna wstęga skarpy ciągnącej się wzdłuż lewego brzegu Wisły, gdzieś od Czerska, aż po ruiny Zamku Królewskiego. Rozpięty na niej szeroki pas zieleni zdobny ornamentem pól, ogrodów, domków, willi, pałaców i kościołów, doprowadzający w organizm olbrzyma oddech lasów kabackich, to najwspanialsza rama leżącej dziś w gruzach stolicy, a równocześnie i najruchliwsza arteria życia, wtłaczająca w miasto wozy pełne towaru i — ludzi.

W środku tego zdobnego pasa, w połowie drogi wiodącej z Belwederu do Królikarni, tuż przy kościele mokotowskim, naprzeciwko parku Dreszera, na najbardziej stromym zboczu skarpy sterczą dziś ku niebu ruiny najciekawszej w stolicy placówki wychowawczo-opiekuńczej, instytucji, która w ciągu swej „300-letniej służby dla dobra młodzieży moralnie zagrożonej" już 5 razy kładła się w gruzy i za każdym razem odradzała się i żywsza i bogatsza.

Bo też i niebylejakich miała opiekunów. Biskupi, zakonnicy, a później ludzie świeccy tej miary, co Fryderyk hr. Skarbek, Stanisław Jachowicz, Pusłowscy wiele tu grosza i wysiłku włożyli, by „dzieci niczyje", chroniące się w przytułku, zwanym niegdyś Instytutem dla Moralnie Zaniedbanych Chłopców, a dziś krótko Instytutem Mokotowskim, nie były „plagą stolicy", ale jej chlubą i nadzieją.

Plon ich prac zaznaczał się szczególnie w okresach wojennych, a ostatnio w pamiętnych tygodniach Września i w tragicznych miesiącach Powstania Warszawskiego.

Wybuch powstania nie zaskoczył tu nikogo. Wszyscy niemal, począwszy od wychowawców, a skończywszy na dozorcy i najmłodszych chłopcach związani byli tajemnymi nićmi konspiracji, czytali prasę podziemną, chodzili na tajne kursy, ćwiczyli się we władaniu bronią i — przysięgali zemstę.

A mieli za kogo i za co.

Edzio za ojca zagłodzonego w więzieniu, Tadzio za brata straconego w Oświęcimiu, Józio za mamusię zasypaną pod gruzami,

a wszyscy co najmniej za kolegę Maniusia Malinowskiego, zamęczonego w Oświęcimiu i za te tragiczne dzieje Instytutu, za te mury wzniesione przez mistrza Marconiego na pożytek dzieciom polskim, a dziś zamienione w stos gruzów i kamieni, wołające o pomstę, za wszystkie krzywdy wojenne, wyrządzone dziecku-sierocie.

Toteż, gdy z podwórza Instytutu wytoczyły się w tym dniu wozy pełne amunicji i broni, a za nimi żołnierskim krokiem wyruszyły plutony młodych ludzi, kierujące się ku siedzibie Gestapo w Alei Szucha, radość ogarnęła wszystkich. Przerzedziły się i szeregi domowników. Za wychowawcami Jerzym i Bohdanem poszli i starsi wychowankowie.

A gdy nad miastem rozszalała burza ognia i dymu, w Instytucie czuć było wielkie święto. To już! To wreszcie! Oby Bóg dał!... Już nie będzie łapanek, aresztowań, publicznych rozstrzeliwań...

Radości tej nie stłumił ryk pruskiej zgraji, szalejącej po podwórzu i szukającej raczej schronienia, niż przeciwnika.

Wspaniałym zrywem serc i ramion Mokotów stał się wolnym niemal w ciągu paru godzin. A w nim jak w baszcie człowiek stał się znów spokojny i bezpieczny. Przynajmniej na razie...

Czujne władze powstańcze wydały jednak nakazy zabezpieczające.

Trzeba było nocami sypać rowy, zwozić żywność i broń na posterunki rozmieszczone w ogrodzie, szykować sypialnie w piwnicach, przebijać przejścia do sąsiadów. Chłopcy zawsze byli tu pierwsi, zawsze pomocni, a nieraz jedyni, co się nie wahali, co rozumieli i czuli potrzebę.

W służbie żołnierskiej i obywatelskiej kładą swe młode życie, udający się na zwiady Kazio S., a następnie Edzio Sl. Ginie czuwający nad budynkiem drewnianym Józio B. Są też i ranni. Rysiek M. zdobywa rankiem dla żołnierzy koszyk ziemniaków, a w ramieniu pruską kulę karabinową. Mietek i Olek służą w żandarmerii, Rysiek i Edzio na warcie w komendzie placu. Henio jest dzielnym łącznikiem i donosi nam codziennie biuletyn prasowy.

Instytut staje się szybko ogniskiem pracy obywatelskiej i żołnierskiej. Tu skupiają się coraz to nowe oddziały wojskowe, tu słucha się radia, rozdziela prowianty (z własnego magazynu). Tu

chronią się chłopcy z internatu przy ul. Dolnej, a z nimi całe tłumy ludności, szukające tu schronienia i posiłku.

Chłopcy pomagają, pełnią dyżury, kopią rowy za siebie i za innych. Bez szemrania.

To nic, że miasto płonie, że dym i ogień zasłania niebo, że nikną mury Instytutu, że w każdej chwili może stać się i u nas coś strasznego. To nic. Jesteśmy w Polsce! Wolni!

Szkoda tylko, że tam z Londynu tak smętnie dziś brzmi chorał... Że brakuje ponoć i amunicji, że tyle już popłynęło krwi, a odsieczy jak nie widać, tak nie widać.

Chłopcy orientują się, ale też i w mig znajdują balsamiczną odpowiedź: To bujda! To nasi idą nam na pomoc! To Niemcy uciekają...

A tymczasem machina pruska rąbie i rąbie nasze mury. Sypią się cegły, piasek, znika z powierzchni sąsiadujący z nami kościół, wali się nasza szkółka, grad żelaza dzwoni całymi dniami po ścianach, odrzwiach i schodach. Jesteśmy zmuszeni trwać całymi dniami w piwnicy. Przez rozwarte szczeliny dochodzą nas coraz większy huk, zgiełk, krzyki i jęki. Czasem ktoś przez okienko wpadnie. Trza opatrzeć ranę, nakarmić. Trzeba ludziom z okolicznych domów wydać żywność, rozdzielić mydło, proszki, zapałki, miód, zaopatrzyć chłopców w odzież, pościel, żywność, ot tak na wszelki wypadek...

Wieczorami w podziemiu, jak w katakumbach rzymskich, lub przed najazdem szwedzkim w Częstochowie. Modlitwy, śpiewy, litanie do świętych polskich. „Boże coś Polskę“ i „Kto się w opiekę“ rozlewa się potężnym chórem głosów ponad domami zajętymi już przez wroga. Dziesiątki oczu, zapatrzone w krycyfiks, błagają ratunku, a usta szepczą modlitwy za poległych. Powaga i spokój zastępuje sen. W bezruchu trwamy nadal dni i noce. A wichura szaleje coraz groźniej. Zbliżają się chwile krytyczne. Żołnierze biegają zdenerwowani. Fala ognia napiera coraz głośniej. Mury kołyszą się od uderzeń. Dym i kurz zaciemnia i gasi świece. Co chwilę ktoś wpada błagając o ratunek, co chwilę ktoś wybiega, by zastąpić poległego na posterunku, by ściągnąć rannego z pola bitwy.

A gdy ostatni padł i trzeba było go znieść z placówki — nie było komu pójść na ratunek. Nie pomoże rozkaz, ani groźba rewolweru i kuli. Żaden z chroniących się mężczyzn nie pójdzie. „Za-

bijcie tu, ale nie pójdę...“ „Tchórze“ — wrzaśnie gromada chłopców i rozbiwszy paczkę zmartwiałych mężczyzn wybiega na podwórza zawalone gruzem, odłamkami drzew, trupami i pełne dymu karabinowego. Dobiegli, ściągnęli ciężko rannego. Nie bacząc na nic dobili do punktu sanitarnego i wrócili tłumiąc w sobie radość z dopełnionego dzieła. Tak! To też „trudni chłopcy“! Trudni i — „zaniedbani“ przez własne społeczeństwo, które tak mało umie patrzeć w ich duszę, w ich serce. Oby takich trudnych chłopców miała Polska jak najwięcej!

Ostatnią noc spędzamy w napięciu nerwów. Ludzie powtarzają sprzeczne z sobą wieści. To, że Mokotów wzięty, że zawieszenie broni, że Niemcy wycofali się spod Instytutu...

Żołnierze przebierają się, zamieniając z chłopcami odzież. Czyżby?...

Odpowiedź dał nam ranek wyjątkowo spokojny.

Spoglądam w okno podziurawionego domu sąsiada. Pełno pruskich hełmów.

Chłopców starszych nie ma, zbiegli wychowankowie pochodzenia żydowskiego. Oczekiwanie...

Umawiamy się, że — w razie, na wypadek, gdybyśmy musieli się rozstać, spotkamy się tu na miejscu! Przyrzekamy sobie nieść pomoc wzajemną, czuwać nad dobytkiem Instytutu i wracać do jego ruin, jak tylko będzie można.

Modlitwę poranną i nasz najmocniejszy śpiew „Boże coś Polskę!“ przerywa ryk żandarmów: RRAauus! *A pretko!*

Spokojnie ustawiam długi szereg wychowanków, biorę własne dzieci pod rękę i opuszczam po niewoli i warsztat pracy i cały dorobek swego życia.

Idziemy karnie i honornie. Z orlich oczu mej dziatwy bije wzrok dziecka niewinnego, przed którym zwykle zasłania twarz nie tylko człowiek dziki, ale i zwierzę.

„Myśmy przyszłością narodu“ — wyrywa się nam do tempa dosyć uciążliwego marszu. Maszerujemy poprzez nieznane... do Polski.

Po drodze umawiamy się. „Kto może, niech zmyka, zwłaszcza starsi“. Nim dobiliśmy do Włoch, większość z nas rozpłynęła się w mrokach nocy.

Nowy dzień rozpoczęliśmy każdy po swojemu, w innym zakątku kraju.

Instytut zburzony poraz piąty, odrodził się najpierw w Myślenicach, potem w Katowicach, a obecnie znów ściele swe gniazdo na skarpie. Bo to „nasz wspólny dom", co nigdy nie ginie. Bo to orle gniazdo, skąd wiele już orlich dusz wybiegło w świat szeroki, w kraj niezwyciężonego Białego Orła.

WANDA DROZDOWSKA

Obrazki z życia dzieci Warszawy

W nędznej lepiance na przedmieściu mieszka 12-letni Krzyś. Godzinami lubi Krzyś wystawać na jej progu, a wielkie i smutne oczy dziecka patrzą zdumione w daleki świat.

Krzyś ma zaledwie 12-cie lat, a widział już bardzo wiele...

Krzyś nie goni tak jak inni chłopcy, nie bierze udziału w ich wesołych zabawach. Jego duszę dziecinną nurtuje smutek, wspomnienie ostatnich przeżyć, które ciężkim brzemieniem zwaliły się na jego słabe plecki.

Krzyś wspomina ciągle, jak w sierpniu 1944 roku, pełniąc funkcję łącznika, musiał się przekradać z Siekierek na Sadybę. Podczas jednej z takich wypraw został ciężko ranny. Po powrocie ze szpitala dowiedział się, że rodzice nie żyją Zginął również towarzysz jego zabaw dziecinnych, Mietek. Krzyś poczuł się zupełnie osierocony. Przygarnęła go ciotka, u której dotąd mieszka. Mieszkają w lepiance, którą można nazwać norą. Dach drewniany przecieka. Toteż w dni deszczowe spędza Krzyś czas u sąsiadów. Nie ma tam żadnych prawie sprzętów, prócz drewnianej pryczy, na której sypia z ciotką, oraz zbitego z desek stołu. Do szkoły Krzyś nie chodzi, gdyż szkoła jest daleko i nie pozwala mu na to brak ubrania i obuwia. Buciki ma stare, ciotczyne, które przemakają podczas deszczu. Nie ma palta. Marynarka zniszczona służy mu również za okrycie w nocy. W tej wilgotnej i ciemnej norze spędza Krzyś prawie cały dzień w oczekiwaniu na powrót ciotki, która przynosi zupkę z „Caritasu".

Tak wygląda życie w Warszawie 12-letniego Krzysia.

Czyż mogą wobec tego uśmiechać się wielkie oczy dziecka i patrzeć beztrosko i spokojnie w dal? Toteż, kiedy słońce zaświeci, budzi się w duszy Krzysia tęsknota za innym, lepszym życiem. Za życiem pełnym, które daje dom rodzinny.

*
* *

Kazik, ranny podczas Powstania odpryskami żelaza w kark, szyję, przedramię i biodro, po tymczasowym opatrunku leżał dość długo w piwnicy, a następnie tułał się po schronach i kanałach.

Matka wraz z młodszym bratem zawieruszyła się gdzieś w tym zamieszaniu. Po pewnym czasie chłopak z innymi rannymi dostał się do tymczasowego punktu rannych. Czas był najgorszy, szpital był źle zaaprowizowany, brak pościeli, opatrunków, lekarstw, żywności, ba, nawet wody. Wreszcie odnalazła go matka, zabrała do „domu“ jako zdeklarowanego gruźlika.

Otwarte na nowo rany ropieją. Tworzą się wrzody, przerzuty, przetoki... Gruźlica kości. Kazik nie rośnie. Przeciwnie, maleje z dniem każdym. Piszczele jego wychudzonego ciała poowijane szczelnie krajkami płótna tworzą mumijkę dziecięcą o zielono-żółtej twarzyczce, patrzącej błękitnymi, bolesnymi oczami. Nic go nie boli... tylko ropa sącząca się masowo z nagromadzonych na wszystkich stawach ran, przecieka. Bandaże zasychają miejscami i opatrunki są bardzo bolesne.

Ktoś mu powiedział, że jest wspaniałe sanatorium w Otwocku, gdzie leczą właśnie takich jak on chorych. Prosi, by go tam zawieźć. Pragnie żyć. Patrzy na mnie z wyrazem gasnącego życia błagalnie, z nadzieją...

Niestety — niewiele mogę dla niego zrobić. Żadne sanatorium nie przyjmie go w tym stanie. Potwierdza to lekarz z Ośrodka, który go odwiedza. Kazik wyczytuje to z mojej twarzy podczas następnej wizyty.

Załamuje się, już wie, że nie ma dla niego żadnego ratunku. Łzy jak perły toczą się po woskowej twarzyczce, a na ustach zawisa pytanie: „Za co ja tak cierpię? Za co“?

I pytaniem tym szeptały nie tylko usta beznadziejnie chorego Kazika! Pytaniem tym patrzyły oczy dzieci, którym zły los nie dał domu, a w tym domu warunków, w których mogłyby się rozwijać

normalnie i przeżyć dzieciństwo w spokoju i szczęściu, do którego ma prawo każda istotka ludzka.

Za co ja tak cierpię? — pytało dziecko stolicy — wszak i ono broniło swego miasta i ma prawo do dachu nad głową i warunków zapewniających zdrowie i naukę, będącą bronią w czekającej walce życiowej.

Krzywda dziecka Warszawy wołała o prawo do zdrowia i nauki i wołanie to musiało dojść do uszu tych wszystkich, co budują nową Polskę. W procesie odbudowy kraju — zapewnienie dziecku i młodzieży warunków rozwojowych — jest sprawą zasadniczego znaczenia. Przyszłość nasza jako Państwa zależy od tego, jak potrafimy rozwiązać palące zagadnienia opieki i wychowania młodego pokolenia.

Obecnie widzimy, jak wiele robią czynniki opiekuńcze, aby zaspokoić najpilniejsze potrzeby. Aby Krzyś miał buty i mógł chodzić do szkoły, aby Kazika dość wcześnie zacząć leczyć, aby dać dzieciom i młodzieży zdrowie i naukę — to dwa warunki podstawowe zbudowania nowej Polski istotnie demokratycznej i silnej.

Red.

Liche mieszkania rujnują, demoralizują, psują swych mieszkańców i oddają ich na pastwę alkoholizmu. Ojciec, powracający po pracy do wstrętnego domostwa, ucieka i szuka w szynku przyjemności, przyczyn jego przedwczesnej śmierci; jego dzieci są dotknięte schorzeniami, które usposabiają je do gruźlicy, do chorób umysłowych, do zbrodni.

Emil Cheysson.

KRONIKA i SPRAWY BIEŻĄCE

Polski Czerwony Krzyż w trosce o dziecko

Otrzymaliśmy sprawozdanie z działalności Polskiego Czerwonego Krzyża, poświęcone opiece nad dzieckiem, tak strasznie zmaltretowanym i sponiewieranym przez okupanta. Umieszczamy je, jako jeszcze jeden dowód wielkiego wysiłku, czynionego przez społeczeństwo, ratowania młodego pokolenia, aby przyszłość Polski mogła się na nim oprzeć z poczuciem, że stanie się ona lepsza i bezpieczniejsza. Klęska, która dotknęła dzieci nasze, jest krzywdą nie tylko tragiczną dla chwili obecnej, ale będzie się wlec za nami jak żywy i groźny wyrzut, jeśli starsze pokolenie nie stanie do natychmiastowej i wszechstronnej pomocy. Odbudowa kraju to nie tylko dźwiganie z ruin gospodarki miast i wsi — to również i przede wszystkim wychowywanie dziatwy, zepchniętej przez wojenną zawieruchę na samo dno nędzy fizycznej i moralnej.

W paragrafie 1-szym statutu Polskiego Czerwonego Krzyża, omawiającym cele stowarzyszenia w czasie pokoju, czytamy... „niesienie pomocy ludności cywilnej w wypadkach klęsk żywiołowych..."

Gdy czytamy te słowa, nasuwa się nam refleksja, że życie powojenne, które tak bardzo rozszerzyło i rozbudowało rolę P. C. K. w społeczeństwie nadało tym słowom specyficzną interpretację pojęcia klęski żywiołowej. Niewątpliwie, wszyscy w Polsce dotknięci jesteśmy klęską, będącą syntezą wszystkich żywiołów niszczycielskich — wojną. Dlatego też każda forma pomocy społecznej, każda akcja ratownicza, prowadzona przez P. C. K. w chwili obecnej, jest w tym rozumieniu działalnością, leżącą w statutowych założeniach instytucji.

Taka jest geneza znacznie rozszerzonej w porównaniu z okresem przedwojennym działalności P. C. K. w stosunku do dziecka.

Kiedy w roku 1945 P. C. K. podjął na nowo działalność, przerwaną przez okupanta, zaliczył natychmiast do grona swych podopiecznych „Małą ludność, dotkniętą wielką klęską", — dzieci, które przeżyły wojnę.

Dążność P. C. K. do przywrócenia normalnych warunków życia dałaby się ująć w trzy zasadnicze kierunki: charytatywny, wychowawczy i poszukiwawczy. Działalność charytatywna wykazuje duże odchylenie od pracy przedwojennej w tym zakresie. W roku 1938, ostatnim, który 31 grudnia zamknął bilans swej normalnej pracy, prowadzono tylko jeden sierociniec w Rybniku (Śląsk.-Dąbr.) i jedną stołówkę dla dzieci ulicy w Równem, oraz 15 stacji Opieki nad Matką i Dzieckiem. W roku 1946 prowadzone są sierocińce w liczbie 21 i dwie bursy, w których przebywa łącznie około 700 dzieci; czynnych jest 56 kuchen dożywiania dzieci, które wydają około 100.000 posiłków mie-

sięcznie; 24 stacje opieki nad matką i dzieckiem; liczne przedszkola, ochronki i żłobki.

Specjalną opieką otaczane są dzieci powiatów pustynnych. Przytoczymy tu przykładowo wyjątki ze sprawozdania szefa służby sanitarnej okręgu lubelskiego, który w pierwszych dniach lipca roku bieżącego objeżdżał powiaty kraśnicki i puławski:

...Wieś Piotrowin: — dostarczono 63 skrzynie mleka skondensowanego, 100 butelek tranu skoncentrowanego, 48 puszek nutryny. Mleko użyte będzie na dożywianie w ciągu lipca około 500 dzieci w „Kropli mleka"...

...Wieś Józefów — dostarczono 500 puszek mleka, 86 puszek kariolu, 25 puszek nutryny, odzież dziecinną"..

„Wieś Święciechów — dostarczono dwie skrzynie mleka skondensowanego, jedną blaszankę mieszanki kakaowej, odzież dla dzieci"...

Akcja taka, prowadzona jest przez wszystkie okręgi, w których znajdują się tereny przyczółkowe.

Dokonane w szkołach wiosną roku 1946 badania odczynem Pirquetta wykazały tak katastrofalny stan zdrowia dzieci pod względem gruźliczym, że nieodzowna stała się szybka organizacja kolonii leczniczych i wypoczynkowych.

Wielką pomoc okazały w tej akcji C. K. innych krajów. Na zaproszenie C. K. Szwajcarskiego Polski Czerwony Krzyż zorganizował wyjazd 400 dzieci pregruźliczych na 6 miesięcy do prewentorium w Alpach. Pociąg sanitarny P. C. K. odwiózł dzieci, dobrze na drogę wyekwipowane w odzież, pochodzącą z darów amerykańskiego Czerwonego Krzyża, do granicy szwajcarskiej. Także Duński Czerwony Krzyż zaprosił i gości 500 dzieci w swoim kraju. Do Bułgarii wyjechało 200 dzieci. Szwedzki Czerwony Krzyż dopomógł w zorganizowaniu kolonii niedaleko polskiego wybrzeża w Dzierżążnie, gdzie spędziło wakacje ogółem 2.400 dzieci, odżywianych produktami, dostarczonymi przeważnie przez Szwedów.

Kolonie i półkolonie zorganizowały na swoich terenach wszystkie Okręgi P. C. K. Liczba dzieci, które w ten sposób będą mogły podratować swoje zdrowie, wyraża się w dziesiątkach tysięcy.

W Okręgu śląsko-dąbrowskim, gdzie odsetek cuti + dochodził do 90%, uruchomiono oprócz kolonii — sanatorium w Rabce.

Niemniej palącą potrzebą, jak odziewanie i żywienie, jest wychowywanie dzieci, których pierwsze lata życia ocienione zostały grozą potwornych okrucieństw bestii ludzkiej.

Zadanie to spełniane jest przez organizowanie Kół Młodzieży na terenie szkół i poza szkołą. W Kołach Młodzieży zjednywa się serca przyszłych obywateli dla wielkich idei humanitarnych, dla hasła Czerwonokrzyskiego „miłuj bliźniego — bliźniemu służ", budzi się poczucie koleżeństwa i braterstwa całej młodzieży świata drogą korespondencji międzyszkolnej, krajowej i międzynarodowej; dąży się do podniesienia poziomu czystości osobistej i higieny otoczenia.

Trzecim rodzajem działalności jest poszukiwanie dzieci zaginionych na skutek wojny: na terenie Niemiec znalazły się tysiące dzieci polskich, oderwanych od rodzin. Były one w latach wojny wywożone przez okupanta celem wzmożenia siły biologicznej narodu niemieckiego krwią polską.

UNRRA Central Tracing Bureau (Międzynarodowe Biuro Poszukiwań) odszukuje je obecnie i zbiera w specjalnie utworzonych na ten cel sierocińcach, skąd następnie wracają do Polski. Zanim jeszcze dzieci przekroczą ojczystą granicę, Biuro Informacyjne P. C. K. na podstawie list, przesłanych przez UNRRA, stara się odnaleźć ich rodziny.

Dzieci wracają pociągami sanitarnymi, bądź P. C. K., bądź amerykańskimi. Na punkcie repatriacyjnym PUR-u czynni są przedstawiciele P. C. K., którzy, drogą wnikliwych rozmów i kojarzenia pozornie nieważnych szczegółów dążą do ustalenia personalii takiego dziecka, które rosło jako Hans Muller, albo Johann Kraft i nie pamięta już ani swego prawdziwego nazwiska, ani imienia.

W ciągu zimy tego roku przybyły także liczne transporty dzieci polskich z Z. S. R. R., które także starano się skontaktować z ich bliższą, czy dalszą rodziną.

Poza tym Biuro Informacyjne gromadzi spisy zakładów i sierocińców w kraju, w których przebywają dzieci zagubione i poszukujące swych rodzin.

Wymieniony wyżej szereg akcji opieki P. C. K. nad dziećmi nie wyczerpuje całości zagadnienia. Omówiliśmy bowiem tylko akcję, prowadzoną specjalnie w kręgu dzieci i młodzieży. A przecież korzysta ona i z akcji ogólnej. Dziecko także leczy się w szpitalu i ambulatorium; jest częstym pacjentem wędrownych ambulansów i Roentgena; podróżuje wagonem sanitarnym; jest odbiorcą odzieży, odżywek, leków. Mały repatriant znajduje opiekę na punktach sanitarno-odżywczych. Trudną rzeczą byłoby wyodrębnienie tych pozycji ze sprawozdania ogólnego.

Jedno jest wszakże bezsporne — dobro dziecka stawiane jest zawsze na pierwszym planie nie tylko w akcji, obliczonej dla nich wyłącznie, lecz i w ogólnej działalności ratowniczej Polskiego Czerwonego Krzyża.

H. D.

P. C. K. prowadzi akcję ratowniczą na wsi, zakładając ambulatoria ruchome, oraz Stacje Wiejskie P. C. K. Stacje prowadzi wykwalifikowana pielęgniarka, a raz lub dwa razy na tydzień odwiedza Stację lekarz.

Stacje Wiejskie P. C. K. mają za zadanie:

1) udzielanie pomocy w nagłych wypadkach,

2) zapewnienie kobietom ciężarnym odbycia porodu w Izbach porodowych, znajdujących się przy Stacjach,

3) organizowanie transportu pacjenta do szpitala, a w wypadku nagłym umieszczanie czasowo chorego w Izbie Chorych, posiadającej 3 — 12 łóżek,

4) udzielanie opieki matce i dziecku, wydawanie dożywek, wyprawek dla niemowląt, a także suchego prowiantu dla niedożywionych starszych dzieci,

5) rozdawanie lekarstw, żywności, odzieży i obuwia.

Dnia 1 stycznia 1946 r. tego rodzaju Stacji było na terenie Województwa Zachodnio-Pomorskiego 13. Obecnie jest już 37 i cały szereg nowych jest w stadium organizacyjnym. Zarząd Gł. P. C. K. projektuje zorganizowanie tego rodzaju Stacji po dwie na powiat, czyli doprowadzenie do ilości 700 w całym kraju. Ludność wiejska serdecznie wita powstanie tego rodzaju Stacji, tym bardziej, że wiele miejscowości są jeszcze pozbawione jakiejkolwiek pomocy sanitarnej.

W dniach 30.VIII — 4.IX br. odbyła się w Sztokholmie Konferencja Kół Młodzieży Czerwonego Krzyża. Rezolucja, której tekst ustaliła delegacja polska i szwajcarska, potępia wychowanie młodzieży, które doprowadziło do wojny i wzywa do wychowywania młodzieży w duchu ideałów czerwonokrzyskich.

P. C. K. uruchomił 2 Szkoły Pielęgniarek. Jedną w Zabrzu koło Katowic, drugą w Poznaniu. Ukończenie Szkół Pielęgniarstwa zapewnia uzyskanie posad we wszystkich zakładach leczniczych, zarówno państwowych, jak i prywatnych. Podania należy składać do Dyrekcji Szkoły pod adresem: Poznań, ul. Szkolna. Zabrze, ul. Dubiela 10. P. C. K. po przeszło siedmioletniej przerwie wznowił wydawanie miesięcznika „Czyn młodzieży Polskiego Czerwonego Krzyża". Celem miesięcznika jest propagowanie wśród młodzieży szkolnej idei czerwonokrzyskiej, oraz zachęta do realizowania w życiu hasła „miłuj bliźniego i bliźniemu służ".

H. S.

Duński miesięcznik o Polsce

Duński C. K. prowadzi w Polsce pięknie pomyślaną akcję pomocy na terenach katastrofalnie zniszczonych przez działania wojenne.

Potrzebom naszego zniszczonego kraju i dotychczasowej akcji pomocy poświęca organ Duńskiego Czerwonego Krzyża „Dansk Röde Korps", w numerze sierpniowym rb. artykuł, z którego cytujemy najciekawsze fragmenty:

„Praca nasza w Polsce rozrasta się tak bardzo, że dr. Jons Thyssen kierujący tą akcją, uznał za konieczne zwrócić się do Duńskiego Czerwonego Krzyża o zwiększenie dotacji finansowych.

Duńskie stacje pomocy, czynne w Makowie i Pułtusku, zostały powiększone, pracują tam dwaj duńscy lekarze i dwie duńskie pielęgniarki. Brak polskich lekarzy na tych terenach sprawia, że chorzy i potrzebujący pomocy przebywają nieraz wiele kilometrów, aby znaleźć poradę i opiekę na stacji.

W Ostrodzie pod Gdańskiem prowadzi stację pomocy jedna z pielęgniarek duńskich, z którą współpracują duńscy lekarze z Gdańska.

Przykładem dobrych osiągnięć w pracy jest Dom Dziecka w Gdańsku dla dzieci słabowitych, zagrożonych gruźlicą. Udało się tam doprowadzić do kwitnącego stanu zdrowia 50 dzieci. Niektórym przybyło po 10 kg na wadze.

Praca duńska w Polsce spotyka się z pełnym zrozumieniem i wielką wdzięcznością. Niedawno p. min. Monrad Hansen i dr. Jons Thyssen byli świadkami przemówienia premiera rządu polskiego, który wyrażając wdzięczność wszystkim krajom, niosącym pomoc Polsce, specjalnie podkreślił znaczenie wielkiej akcji charaktywnej Danii.

Artykuł kończy się apelem do społeczeństwa duńskiego:

Polska wierzy, że praca nasza wykonywana będzie w dalszym ciągu. Dlatego nie wolno nam zapomnieć, że musimy mieć coraz więcej pieniędzy na koncie bankowym nr. 1284"

W tak skromnych słowach legitymuje się Duński C. K. ze swej działalności wobec własnego narodu. My tu jednak w Polsce dobrze wiemy, czym jest dla naszych powiatów pustynnych duński lekarz, duńska pielęgniarka, duńska pomoc dla głodnych. Wiemy, że w sierpniu br. w samym Makowie żywiono 15.000 osób, w Ostrodzie 5.000 dzieci, w Gdańsku tysiące dzieci w 43 szkołach, oraz 10.200 dzieci repatriantów, a w Brzeżu w Domu Dziecka przebywa stale 50 dzieci.

A mimo to działacze tego niewielkiego kraju widzą konieczność dalszej rozbudowy swej akcji w Polsce i wzywają swoje społeczeństwo do nowych ofiar.

Polsko-Szwedzkie Prewentorium Przeciwgruźlicze w Dzierżążnie czynne

Nazwa „Dzierżążno" nie jest obca szerokim rzeszom społeczeństwa. Kilka miesięcy temu, z okazji rozpoczęcia kolonii letnich, zorganizowanych wspólnym wysiłkiem Polskiego i Szwedzkiego Czerwonego Krzyża prasa niejednokrotnie pisała o wspaniałych urządzeniach zakładu w Dzierżążnie i wprost idealnych warunkach, w jakich dziatwa nasza nabiera tam sił i zdrowia.

Aby urządzenia w kolonii w Dzierżążnie wyzyskać również w okresie miesięcy zimowych — P.C.K. zawarł umowę z bratnią organizacją Szwedzkim Czerwonym Krzyżem, celem podjęcia nowej wspólnej akcji na tym terenie. I oto już pierwszego listopada rb. otwarte zostanie w Dzierżążnie prewentorium przeciwgruźlicze dla 650 dzieci w wieku 7 — 15 lat, pochodzących ze środowisk najbiedniejszych, oraz z pomiędzy sierot po poległych i zaginionych. Lista kandydatów na pierwszy trzymiesięczny turnus zestawiona będzie przez P.C.K., ministerstwa, kuratoria szkolne, RTPD, Związek Harcerstwa Polskiego, Zw. Nauczycielstwa Polskiego, związki zawodowe, Caritas, C. K. O. S., YMCA, Zw. Uczestników Walki o Niepodległość i Demokrację, Zw. Osadników Wojskowych, Tow. Przyjaciół Żołnierza i Zw. Inwalidów.

W Prewentorium za opłatą 20 zł. dziennie dzieci otrzymują leczenie, wyżywienie i pościel. Doborowy polsko-szwedzki personel lekarski, oraz wykwalifikowany polski personel pielęgniarski i wychowawczo-nauczycielski pozwala mieć nadzieję, że prewentorium zimowe odda nie mniej cenne usługi, niż niedawno zakończona akcja letnia.

Mali kuracjusze Dzierżążna przechodzić będą pod kierunkiem nauczycieli normalny kurs nauki.

Sigma Blanck w Polsce

W końcu sierpnia bieżącego roku przybyła do Polski z pierwszą wizytą przewodnicząca Towarzystwa Pomocy Polsce „Polenhjelpen" w Szwecji wybitna społeczniczka szwedzka, Sigma Blanck, wypróbowana przyjaciółka Polski i Polaków, prawdziwy człowiek w najpełniejszym i najlepszym znaczeniu tego wyrazu.

Pierwsze kontakty z Sigmą Blanck zostały nawiązane jeszcze w czasie okupacji niemieckiej w okresie przedpowstaniowym. Ona bowiem była tą, która organizowała pomoc dla Polaków naprzód w kraju, przez zaopatrywanie ich w odzież i żywność. Paczki te przychodziły na adresy najbardziej potrzebujących, które były dostarczane bądź w listach samych petentów, bądź zbiorowo, przy umiejętnym ominięciu uwagi szpiclów poczty hitlerowskiej — o ile ujawnienie nazwiska, czy adresu było z jakichś względów niewskazane. „Polenhjelpen" organizowała również niezmiernie skuteczną i wszechstronną pomoc naszym rodakom, którym się udało przedostać do Szwecji bądź samodzielnie, bądź też przy współudziale organizacji szwedzkich, wśród których na pierwszym miejscu należy wymienić Szwedzki Czerwony Krzyż. „Polenhjelpen" wyróżniła się również zaszczytnie, jeśli idzie o pomoc naszym więźniarkom z obozu w Ravensbrueck.

Ich opowiadania o stosunkach w Szwecji, o odnoszeniu się do nich szwedzkiego personelu lekarskiego i pielęgniarskiego, o traktowaniu ich przez „szarego człowieka" Szwecji — są przepełnione akcentami szczerego i serdecznego wzruszenia. Że stosunek „Polenhjelpen" do nas był co najmniej równie szczery i serdeczny, świadczy dalsza nierównie szersza, niż w czasie wojny akcja pomocy dla Polski. Dzięki przychylnemu stanowisku Rządu, akcja ta nie doznaje żadnych przeszkód, a dzięki inicjatywie naszych zagranicznych przyjaciół stale przybiera na sile.

Szwedzi nie ograniczyli się do własnych możliwości, ale nawiązali kontakt z Duńczykami i zbiorowym wysiłkiem stworzyli coś w rodzaju Punktu Ratunkowego dla dzieci w Kieletczyźnie (w Stopnicy), wydającego 3500 posiłków dziennie. Obecnie, jak nas informuje Sigma Blanck, po objeździe wschodnich obszarów Rzeczypospolitej, projektowane jest założenie analogicznego Punktu w Ostrołęce, ewentualnie przeniesienie tam Punktu ze Stopnicy.

Nasza szwedzka przyjaciółka interesuje się Polską bardzo żywo i rozumnie. Nie wprowadzają jej w błąd pozory bogactwa w postaci luksusowych wystaw, luksusowych sklepów. O tragedii kontrastów Polski wypowiada się z najgłębszym oburzeniem. Jest wszędzie — zarówno w najbardziej luksusowej restauracji hotelu Polonia, jak i w ziemiance Starówki. Z pasją przeklina Niemcy i Niemców, zwracając się bezpośrednio do dwóch jeńców, zatrudnionych przy rozbiórce resztek getta w Warszawie. Ze łzami w oczach słucha ludowych piosenek w wykonaniu dzieci Pogotowia Dziecięcego w Warszawie, w pięknie dekorowanej zielenią sali, przybranej ponadto niebiesko-żółtymi barwami narodowymi Szwecji. Pyta o wszystko — o stopień zniszczenia miasta, o liczbę ludności dziś i przed wojną, o liczbę dzieci i szkół, ilość podopiecznych i możliwości nasze w tej dziedzinie, o plany odbudowy Warszawy, o stan zdrowia ludności i o szereg innych spraw, których tu nie sposób wyliczać. Niemal do każdej naszej odpowiedzi dorzuca własną uwagę, wskazującą na rzeczywiste głębokie zainteresowanie się poruszanymi problemami, jak również na niezmiernie trafne ujęcie naszej współczesności. Po każdej z dwóch wycieczek po Warszawie, mających na celu zobrazowanie zakresu i poziomu prac i potrzeb opieki otwartej i zamkniętej, wykazuje wielkie przejęcie. Wyraża zdumienie, że dotychczas nie zetknęła się w Szwecji z żadnymi postulatami w związku z potrzebami Opieki Społecznej w Warszawie, poza dziedziną sanitarną, sądzi jednak, że obecnie, dzięki wysiłkom pracowników Wydziału Opieki Społecznej Zarządu Miasta Warszawy zaniedbanie to zostanie w pełni nadrobione.

Pożegnanie w Warszawie z Naczelnikiem Wydziału, ob. Sendlerową, jest niesłychanie serdeczne — bez śladu sztucznej kurtuazji, w wielu wzajemnych uściskach i ucałowaniach, słyszymy wypowiadane w czterech językach słowa najwyższego uznania dla ofiarności pracowników, którzy sami niejednokrotnie w sytuacji nie lepszej, niż wspomagani podopieczni, z największym samozaparciem walczą z nędzą innych, sami w nią popadając. Słyszymy też w tych ostatnich zdaniach podziw dla naszej odwagi i nieustępliwości i głębokie przeświadczenie, że takim ludziom warto pomóc i że cały świat winien zobaczyć Warszawę, a pomoc na pewno nie zawiedzie.

Dalsze rozmowy prowadzimy już w Gdyni i we Wrzeszczu. Tam ostatecznie my konkretyzujemy nasze postulaty i otrzymujemy zapewnienia uczynienia wszystkiego, aby nasze potrzeby zostały w miarę możliwości zaspokojone. Przewidywany termin pierwszych przesyłek — to listopad bieżącego roku. Na wcześniejszą realizację nie pozwolą trudności techniczne. Dowodem zainteresowania i naprawdę szczerej chęci przyjścia nam z możliwie wszechstronną pomocą jest propozycja, uczyniona nam po dokładnym obejrzeniu wystawy „Odbudowa życia Warszawy" w gmachu B. G. K. w dniu 31 sierpnia br. Wypowiedziawszy się z wielkim uznaniem o samej wystawie, jak i o pomyśle zorganizowania tego typu stałej wystawy, obrazującej permanentnie coraz to nowe osiągnięcia odbudowy Stolicy — Sigma Blanck proponuje przewiezienie całej wystawy do Szwecji. Szwedzkie napisy i objaśnienia

wykonanoby już w Szwecji pod jej osobistym kierownictwem, ona również wzięłaby na siebie propagandę i organizację wystawy w szeregu szwedzkich miast. „To skandal, że o tym wszystkim co się tu dzieje i co wy tu robicie, prawie nic się u nas nie wie. Macie przecież światu do pokazania naprawdę konkretne osiągnięcia i rzetelną pracę na wielu odcinkach. Możecie tym zaimponować innym narodom — ale trzeba to pokazać. Nie gruzy i mogiły, ale właśnie życie i jego odbudowę. Tym zdobędziecie sobie pomoc, a po tym co tu widziałam, mogę wam powiedzieć, że nie macie się czego wstydzić. Wasze zdobycze w dziedzinie opieki społecznej są zdumiewające, a biorąc pod uwagę szczupłość środków materialnych i niebywale niskie wynagrodzenie pracownika — wręcz niewiarogodne".

Doprawdy, trudno wymagać więcej. Serdecznie wzruszeni, żegnamy z żalem naszą przyjaciółkę zapewnieniami naszych gorących uczuć dla niej osobiście i dla jej Ojczyzny i najszczerszą prośbą o jak najrychlejszą ponowną wizytę. *St. Z.*

Fiorello La Guardia w Warszawie

Dyrektor Międzynarodowej Organizacji Pomocy, na rzecz której świadczy także i Polska — znanej pod nazwą UNRRA (United National Relief and Recovery Administration) przybył do Warszawy, na lotnisko okęckie w dniu 21 sierpnia. W miarę otrzymywania dalszych, bardziej szczegółowych wiadomości, zamieścimy je w następnym numerze „Opiekuna". Obecnie zaś notujemy z wielką radością, że zgodnie z informacją, udzieloną przez La Guardię, na komisji Rady UNRRA postanowiono utworzyć fundusz internatów dziecięcych. Byłby to już bardzo poważny zaczątek międzynarodowej organizacji opieki nad dzieckiem.

Przypominamy tu, że porozumienie międzynarodowe, dotyczące utworzenia międzynarodowego Stowarzyszenia Opieki nad Dzieckiem zostało podpisane w Brukseli, w dniu 2 sierpnia 1922 roku, a w dniu 3 kwietnia 1929 złożone zostało Oświadczenie Rządowe Rządu Polskiego (Dz. U. nr 49) w sprawie złożenia dokumentu ratyfikacyjnego tego porozumienia. Statut tego Stowarzyszenia przewiduje możność tworzenia Oddziałów Narodowych Stowarzyszenia w poszczególnych krajach, czego jednak w Polsce nie dokonano.

Nie wiadomo nam w tej chwili, czy nowa projektowana organizacja międzynarodowa ma związek i jaki ze wzmiankowanym Stowarzyszeniem, czy też jest czymś zupełnie nowym. Jakkolwiek jest, podkreślić należy z satysfakcją ożywienie się inwencji zbiorowej na tym polu, co pozwala wróżyć wreszcie jakieś pomyślniejsze zmiany na tym odcinku życia publicznego.

Jakie wyniki dałoby się osiągnąć przy odpowiedniej żywotności wspomnianej organizacji, niech zaświadczą słowa La Guardii: „Koszty prowadzenia wojny przez jedną godzinę pokrywają w całości wydatki na międzynarodową opiekę nad dzieckiem, którą proponujemy stworzyć".

Nie wyciągając przedwcześnie zbyt różowych wniosków, życzymy jednak najserdeczniej wszystkim tym pięknym projektom jak najszybszej realizacji — w imieniu wszystkich potrzebujących opieki dzieci w Polsce. *St. Z.*

W czas rozstania

Zamieszczamy w całości sprawozdanie z działalności Komisji Opieki Społecznej nad masą polskiego wychodźtwa na ziemi radzieckiej sądząc, że zaciekawi ono naszych czytelników.

Kreślimy ostatnie słowa w końcowym etapie działalności ZPP[1]) na braterskiej ziemi radzieckiej. Za nami okres trzechletniej trudnej pracy organizacyjnej, okres wydobywania na powierzchnię życia społecznego ludzi ideowych, służących już dzisiaj demokratycznej Polsce.

Te trzy lata istnienia i działalności ZPP, dadzą się dzisiaj do pewnego stopnia podsumować. Można dziś uczciwie powiedzieć, że okres ten nie był zmarnowany, w tym bowiem czasie stworzyło się mocne ogniwo w wielkim łańcuchu prac ogólnych.

Na odcinku Opieki Społecznej dokonało się wiele, choć dziś zbyt trudno dać właściwą wnikliwą analizę. Dopiero z perspektywy czasu, dorobek w dziedzinie opieki społecznej wśród wychodźtwa polskiego nabierze odpowiedniej barwy. Zgodnie z założeniami ideowymi — ZPP postawił sobie za cel otoczenie opieką materialną blisko pół milionową masę uchodźtwa polskiego. Już w pierwszych tygodniach istnienia Zarządu Głównego opracowano instrukcję, na mocy której powołano we wszystkich skupiskach polskich nawet w najbardziej oddalonych — Komisje Opieki Społecznej. Już po upływie krótkiego czasu około 100 Komisyj Obwodowych Opieki Społecznej rozpoczęło ożywioną działalność, idącą w kierunku niesienia pomocy materialnej Polakom, których wojna rzuciła na bezkresne tereny Związku Radzieckiego.

W pierwszym rzędzie otoczono opieką dzieci, rodziny wojskowe, inwalidów wojny i pracy.

Trudne to zadanie udało się zrealizować dzięki życzliwemu poparciu władz radzieckich, które nie szczędziły trudów ani kosztów i stworzyły specjalny Urząd „Uprosobtorg", którego zadaniem była ścisła współpraca z polskimi czynnikami społecznymi w rozdzielaniu i rozprowadzaniu odzieży i produktów. Do tego celu utworzono 14 baz na całym obszarze Związku Radzieckiego.

Na wezwanie ZPP stanęli do pracy ludzie dobrej woli, pełni inicjatywy, rozumiejący głęboko sens i treść służby społecznej. My wszyscy, którzy zaczęliśmy pracę od pierwszej chwili w rozległych i trudnych nieraz klimatycznie terenach Uralu, Kazachstanu, Ałtajskiego Kraju, Nowosybirska, wiemy, jaki trudny był grunt do przeorania. Spotykaliśmy się na porządku dziennym z nieufnością, biernym oporem, trzeba było nastawić masy do przekontrolowania starych przesądów, obalić fałszywy pogląd na przeszłość i wskazać nową, jasną drogę do lepszego jutra Polski. Trzeba było mówić, wkładać w mózg i w serce tę prawdę o Związku Radzieckim, która w okresie przedwrześniowym była ukrywana, i obalać te zarzuty, które były fałszywe,

---

[1]) Związek Patriotów Polskich.

wprowadzane przez całe lata do psychiki masy polskiej jak jad, a tak daleko odbiegające od rzeczywistości.

Obiektywnie stwierdzić dziś możemy, że ZPP wychował wielotysięczne kadry pełnowartościowych pracowników społecznych, o wysokich kwalifikacjach moralnych. Kadry te zdały w okresie trzech lat żmudnej pracy egzamin. One stanęły w pierwszym szeregu na odpowiedzialnym i niedocenionym odcinku, jakim jest Opieka Społeczna. Potrafiły przeprowadzić pracę wychowawczą, potrafiły ożywić biernych i wprzęgnąć masę uchodźtwa polskiego do aktywnego, zbiorowego wysiłku.

Wielu z naszych pracowników obwodowych otrzymało od Krajowej Rady Narodowej odznaczenia państwowe, jako ocenę swej pracy. Zetknięcie się z nową rzeczywistością polską niezawodnie popchnie cały nasz aktyw na tę jedyną drogę, która zdąża konsekwentnie do rozwoju Polski Demokratycznej, Polski Ludowej. Nie bacząc na trudności, z jakimi boryka się kraj, nie bacząc na ciężką walkę z reakcją w kraju i zagranicą nasi Zetpepeowcy potrafią być tak jak na emigracji żołnierzami na posterunku, znającymi drogę do wytkniętego celu. Okres pracy poza granicami kraju dał setkom naszych Zetpepeowców odporność, umiejętność zwalczania przeszkód, zrobił z nich ludzi mocnych, nieustępliwych, na których demokracja polska może się oprzeć.

Wielu z pierwszej ekipy Zarządu Głównego ZPP, to dzisiejsi dygnitarze państwowi, bojownicy o zwycięstwo idei demokratycznej, ludzie, którzy z popiołów i zgliszcz tworzą nową Polskę.

Spojrzenie wstecz na odcinek pracy opieki społecznej i przytoczenie cyfr — pozwoli zdać sobie sprawę z olbrzymiej pomocy, jaką wychodźtwo polskie w okresie trzechletniego pobytu na ziemi radzieckiej otrzymało. Tak niedawno jeszcze byliśmy świadkami śmiertelnego wysiłku zbrojnego całego narodu radzieckiego. W tym tak ciężkim okresie Rząd Radziecki mimo własnych trudności gospodarczych, otoczył troskliwą opieką całe wychodźtwo polskie, wydzielając ze swoich funduszów w roku 1944 słynny przydział stalinowski, wyrażający się w 1077 tonach mąki, 529 tonach kaszy, 234 tonach cukru, 280 tonach tłuszczu, 151 tonach mydła, 232.717 metr. materiału bawełnianego, 8,5 tys. par butów. W tymże samym okresie wydzielono dla Polonii dżambulskiej pół miliona kg. mąki. Dla osłabionych polskich dzieci Zarząd Główny ZPP uzyskał 5.000 deputatów dietetycznych kwartalnie od rządu radzieckiego. Szereg obwodów jak Woroneż, Stawropol, Krasnodar, Saratów otrzymały na podstawie Uchwały Ministerstwa Handlu r. 1945 odzież i obuwie na sumę 800 tysięcy rubli. Poważną pomoc otrzymała Polonia z miejscowych funduszów sowieckich, Organizacyj handlowych, jak bezpłatne kartofle dla posiewu, odzież, obuwie, żywność dla rodzin wojskowych. Pomoc ta z miejscowych funduszów wynosiła miliony rubli. W okresie repatriacyjnym Ministerstwo Handlu wydzieliło dla repatriantów polskich 9 milionów rubli w postaci odzieży i obuwia. I ponadto półtora miliona rubli z obwodowych funduszów radzieckich.

W okresie trzech lat pomoc wydzielona z darów amerykańskich i Rządu Jedności Narodowej wynosiła 65 milionów 306 tysięcy 880 rubli. Podział przeprowadzony był przez 14 baz Uprosobtorgu łącznie z 1.107 Komisyj Opieki Społecznej. Przy niewątpliwie poważnej pomocy — Komisje Opieki Społecznej wykazały samorzutną olbrzymią inicjatywę samopomocy. Kapitał obrotowy 870 Kas Wzajemnej Pomocy wynosił milion 200 tys. rubli, uzyskanych z dobrowolnych składek, imprez, loteryj. Komisje Opieki Społecznej uzyskały ponad milion rubli. Ponadto akcją indywidualnych ogrodów była objęta podstawowa ilość obwodów. Polscy inwalidzi wojny i pracy umieszczeni byli w 37 domach inwalidzkich. Inwalidzi otoczeni byli opieką władz radzieckich i Związku Patriotów Polskich. Domy te były na stałym budżecie Związku Radzieckiego. Dla Polaków w Związku Radzieckim zorganizowano przy Ministerstwie Handlu 28 warsztatów krawieckich i szewskich, 13 stołówek Ministerstwa Handlu obsługiwało wyłącznie Polaków. Stołówki te wydały ponad 3 miliony obiadów na łączną sumę 3 milionów 650 tysięcy rubli.

Praca ZPP zakończona. I dziś patrząc w przyszłość i rzeczywistość Polski, możemy z wiarą i przekonaniem stwierdzić, że wkład emigracji polskiej w ZSRR w zakładanie podwalin Polski Demokratycznej jest bezwątpienia znaczny i znajdzie swoje miejsce w historii. Stwierdzamy, że emigracja polska w Związku Radzieckim była tą emigracją twórczą, pełną patriotyzmu i rozumiejącą nowe drogi Polski. Emigracja w Związku Radzieckim potrafiła zerwać raz na zawsze ze starymi, przegniłymi formami rządów przedwrześniowych i potrafiła wejść z całym polskim społeczeństwem demokratycznym na nowy jasny szlak.

Własne spojrzenie i przeżycia znaczą więcej niż setki opowiadań. Nasza prawda o Związku Radzieckim zaczerpnięta z życia, z własnych odczuć, przeżyć i doświadczeń ma swój ciężar gatunkowy. I każdy z nas potrafi uczciwie mówić prawdę o naszych przyjaciołach radzieckich. I chciało by się teraz, kiedy już setki tysięcy Polaków znalazły się na ziemi Ojczystej, serdecznie podziękować wszytkim opiekunom i braciom radzieckim za to, że najcięższy okres zmagań i burzy wojennej przeżyliśmy razem, za to, że dzielili z nami swój chleb, za to, że dali tak wiele przyjaźni i serca. To, co złączyło nas w latach kataklizmu wojennego, jest silne i nierozerwalne, a szczere uczucia przyjaźni i wdzięczności dla bohaterskich narodów radzieckich towarzyszyć nam będzie zawsze.

Kuczyńska Irena
Kierownik Wydziału Opieki Społecznej.

Moskwa, 8.VIII.1946 r.

Sprawozdanie z działalności Centralnego Komitetu Opieki Społecznej

C. K. O. S. powołany do życia w celu skoordynowania w jednolitą całość spraw opieki społecznej na terenie Rzeczypospolitej, rozwija coraz szerszą i wszechstronniejszą działalność.

Działalność ta opiera się organizacyjnie na następujących podstawach: najniższą komórką organizacyjną są gminne komitety Opieki Społecznej. Było ich w czerwcu bieżącego roku 2.135. (w 12 województwach), Powiatowych Kom. Opieki Społecznej (K. O. S.) 240, miejskich 51, wojewódzkich 16. C. K. O. S. prowadzi Zakłady i placówki podlegające nadzorowi Ministerstwa Pracy i O. S. oraz Ministerstwa Oświaty.

W czerwcu b. r. było czynnych 828 Zakładów i placówek, obejmujących opieką 377,846 osób: są to między innymi Domy małych dzieci. Stacje Opieki nad matką i dzieckiem, Żłobki, Schroniska Przejściowe, Domy Starców, Domy Noclegowe, Kuchnie Ludowe itd. Zakładów i placówek podlegających nadzorowi Ministerstwa Oświaty było w czerwcu br. 644, z ilością 96,672 osób podopiecznych. W zakresie opieki częściowej, obejmującej młodzież szkolną było placówek 96, z ilością 18,132 osób. Oprócz powyższych zakładów i placówek C. K. O. S. subwencjonuje jeszcze 64 zakłady obce.

Obecnie C.K.O.S. kładzie szczególny nacisk na rozwój kuchen ludowych. uważając sprawę dożywienia za ważną część opieki społecznej w naszych warunkach. Wszystkie kuchnie wydały przeciętnie 380.000 obiadów jednodaniowych, nie licząc śniadań i kolacyj, wydawanych w zakładach zamkniętych oraz posiłków wydawanych na punktach dworcowych dla dzieci repatriantów.

Na zasiłki pieniężne Komitety Opieki Społecznej wydawały miesięcznie 1 i pół miliona zł., odzieży i butów rozdano około 60.000 sztuk. Pomoc lekarska w postaci opłat szpitalnych, za recepty, za lekarstwa, wynosiła około pół miliona zł.

Potrzeby jednak są znacznie większe, niż obecne możliwości C. K. O. S-u. Opieki potrzebuje jeszcze około 2.900.000 ludzi (dorosłych i dzieci), co zmusza C. K. O. S. do otwierania coraz to nowych zakładów zamkniętych i otwartych. Między innymi organizuje się 7 Domów Starców, 4 Stacje Opieki nad matką i dzieckiem. Stacje te są potrzebne ze względu na dużą śmiertelność niemowląt. Takich stacji jest obecnie czynnych 12, w których zarejestrowanych jest 2.863 osoby, w tym 70% matek karmiących i ciężarnych. Stacje zapewniają im odpowiednie odżywianie i opiekę lekarską. Specjalną uwagę zwraca C.K.O.S. na młodzież, przeważnie na repatriantów, nie posiadających żadnego przygotowania fachowego, ani naukowego, która znalazłszy się po powrocie do kraju wśród nowych warunków, stanęła wobec życia zupełnie nieprzygotowana do pracy. Dla takiej młodzieży C.K.O.S. otwiera zakłady szkoleniowe w rodzaju warsztatów pracy, gdzie pod kierunkiem podopiecznych fachowców młodzież ta jest szkolona w pewnym zawodzie i w ten sposób przygotowuje się do samodzielnego życia. Takich warsztatów uruchomiono 38, a w tym: 17 krawieckich, 8 szewckich, 2 stolarskie, 1 koszykarski, 1 ślusarski, 1 kowalski, 1 modniarski, 1 artystyczno zabawkarski, 1 przemysłu ludowego (wyrób kilimów), 1 torebek handlowych, 2 hodowli jedwabników, 1 tartak, 1 pralnia. Warsztaty te po kompletnym urządzeniu staną się dochodowe, a tym

samym samowystarczalne. Osiągany z nich zysk pozwoli na ich rozszerzanie i na zakładanie nowych.

Podobną rolę spełniają Ośrodki rolne, należące do C. K. O. S-u., które ze względu na swój charakter i przeznaczenie przygotowują młodzież do zawodu rolniczego. C. K. O. S. przydzielono dotychczas 33 Ośrodki rolne o obszarze od 10 do 150 ha. Ośrodki te znajdują się przeważnie w stanie mocno zdewastowanym, bez inwentarza żywego i martwego ze zniszczonymi zabudowaniami. Doprowadzenie ich do poziomu wzorowych gospodarstw wymaga szeregu inwestycji. Brak na ten cel funduszów hamuje odbudowę. Mimo to Ośrodki okazały się bardzo pomocne i wielostronnie korzystne, albowiem poza szkoleniem podopiecznych, zapewniają one egzystencję istniejących przy nich innych zakładów (jak Domy Starców, Domy Dziecka) oraz zaopatrują częściowo w produkty rolne Kuchnie Ludowe.

Obecnie C. K. O. S. z braku większych środków ogranicza się do:

1) masowego dożywienia w Kuchniach Ludowych ludności, która znalazła się bez środków do życia.

2) opieki nad matkami ciężarnymi, karmiącymi i niemowlętami w „Domach Matki i Dziecka", w „Domach Małych Dzieci", w „Stacjach Opieki nad Matką i Dzieckiem", które zabezpieczają matkom i niemowlętom pomoc materialną, sanitarną, i udzielają wskazówek wychowawczych.

3) Opieki nad dziećmi i młodzieżą w wieku szkolnym, sierotami i półsierotami po ofiarach wojny.

4) produktywizacji podopiecznych, polegającej na zakładaniu warsztatów szkoleniowych różnych rzemiosł.

5) racjanalnego i wzorowego zagospodarowania Ośrodków rolnych, również nastawionych w kierunku szkolenia podopiecznych w danym zawodzie.

POMOC ZIMOWA. Akcja pomocy zimowej podczas zimy 1946/7 powierzona została C. K. O. S-wi. W obecnej chwili posiada CKOS na terenie całej Polski 2.587 Komitetów O. S., które docierają do wszystkich warstw społeczeństwa. Wszystkie C. K. O. S. posiadają aparat zorganizowany, co w wielkiej mierze ułatwi przeprowadzenie Akcji Pomocy Zimowej. Liczba podopiecznych w zimie wzrośnie kilkakrotnie. Wyzyskując doświadczenie z okresu ubiegłej Akcji Pomocy Zimowej (1945/6) C. K. O. S. przystąpił obecnie do powierzonej sobie pracy całkowicie przygotowany. Już we wrześniu br. wydano instrukcje wszystkim Komitetom O. S. nastawiania się do technicznego wykonania akcji. Licząc na ofiarność rolnictwa w postaci kartofli i zboża C. K. O. S. organizuje w terenie akcję zbiórkową przed nastaniem deszczów i mrozów. W akcji pomocy zimowej 1945/6 Komitety O. S. zebrały z dobrowolnych składek społeczeństwa ponad 140.000.000 zł. Udzielono w ramach tej akcji pomocy 3.292.000 osobom.

H. S.

Odezwę Prezesa C. K. O. S.-u w sprawie Akcji Pomocy Zimowej podajemy w całości:

Na front walki z głodem i zimnem !!!

W kraju tak zniszczonym jak Polska przez okupanta, zagadnienie opieki społecznej urosło do rozmiarów, przerastających możliwości Państwa.

Wojna i okupacja niemiecka pozostawiły okropne spustoszenia, skutki są przerażające; zniszczone podstawy bytu milionów ludzi, śmierć żywicieli rodzin — które pozostały bez środków do życia, wdowy, sieroty, kaleki, zniszczone warsztaty pracy, brak mieszkań — a wreszcie migracja olbrzymia, nieznana w dziejach narodu. Miliony ludzi, przesuwanych ze Wschodu na Zachód, repatriacja masowa z Zachodu, to wszystko ciężarem swoim uderza w państwo. Bezrobotni czasowo niezdolni do pracy, starcy zmuszeni są oczy swoje zwracać na rząd i ręce wyciągać po pomoc.

Państwo tego nadmiernego ciężaru w pierwszym okresie odradzania się i odbudowywania z gruzów życia gospodarczego naszego kraju, kiedy wszystkie potrzeby stają się pilnymi i koniecznymi, żadną miarą, nawet największym wysiłkiem nie jest w stanie udźwignąć.

Przed rządem stanęły problemy na miarę olbrzymów, które muszą być rozwiązane i nie wiadomo, co powinno w tej hierarchii potrzeb iść na pierwsze miejsce. Odbudowa fabryk, odbudowa szkolnictwa, odbudowa mieszkań, uruchamianie kopalń, zaludnianie ziem odzyskanych, repolonizacja ziem zachodnich, budowanie mostów, taboru kolejowego, uruchomienie portów i żeglugi morskiej i tyle innych zagadnień — czeka na szybkie rozwiązanie.

Zdawałoby się, że w powodzi tych problemów, sprawa opieki społecznej zostanie zupełnie zapomnianą, albo zepchnięta na szary koniec. A jednak jest inaczej, rząd docenia konieczność ratowania siły biologicznej naszego narodu i stąd wielka troska o dziecko i matkę, o młodzież, o tych wszystkich, którzy mogą szybko być wciągnięci w proces produkcyjny.

Nakładem olbrzymich sum i środków aprowizacyjnych na opiekę społeczną, rząd ratuje społeczeństwo od zagłady, dąży do reproduktywizacji tych, którzy znaleźli się poza zasięgiem normalnego bytowania.

W tym wysiłku rząd musi znaleźć pomoc całego społeczeństwa, komu nie jest los kraju i tych najbardziej potrzebujących opieki obojętnym, nie może odmówić dołożenia choćby jednej cegiełki do budowy gmachu naszego rozwoju i dobrobytu.

Zwłaszcza w okresie zimy, kiedy nasilenie nędzy — i w normalnych warunkach przed wojną jaskrawo występowało — należy wytężyć ofiarność i pośpieszyć na front walki z nędzą i zimnem. Potrzeby będą gwałtownie wzrastać z nastaniem mrozów, ludność najdotkliwiej poszkodowana skutkiem wojny województw: Warszawskiego, Kieleckiego, Lubelskiego, Białostockiego i Rzeszowskiego żyjąca w lepiankach, bunkrach i ziemiankach, oraz województw: Szczecińskiego, Wrocławskiego i Olsztyńskiego, gdzie nędza dzisiaj jest duża, oczekuje i wierzy, że społeczeństwo zamożniejsze przyjdzie jej z pomocą. Nie-

chaj cyfry z akcji normalnej i Pomocy Zimowej — Styczeń — kwiecień 1946 r. mówią za siebie.

Centralny Komitet Opieki Społecznej normalną opieką obejmuje w miesiącach letnich około 500.000 osób, w akcji zimowej korzystało z pomocy KOS 3.293.000 osób.

W kraju całym 2587 komitetów opieki społecznej, opartych na szerokim wachlarzu społeczeństwa niosło tę pomoc, nie oszczędzając pracy własnej, ani środków materialnych. Ofiarność społeczeństwa wyraziła się kwotą 140.000.000 zł. w ciągu 4-ch miesięcy akcji zimowej. Ofiarność w pracy bezinteresownej kilku tysięcy społeczników nieda się ująć w żadne cyfry pieniężne, okazane serca i zrozumienie nie można przeliczyć na żadną cenę, jest ono wręcz bezcenne.

W 1.472 placówkach dożywiania i zakładach dla dzieci i starców, obok płatnego personelu, oddało się pracy honorowo ponad 3 tysiące osób, nie szukając uznania, ani rozgłosu.

W 104 zakładach opieki całkowitej dla dzieci znajduje stałą opiekę 4.880 dzieci, w 481 zakładach i placówkach Opieki częściowej znajduje pomoc 82.487 dzieci w wieku ponad 3-18 lat.

W 52 zakładach opieki całkowitej znajduje się 1.213 osób dorosłych, a z 76 placówek opieki częściowej korzysta normalnie 341.875 podopiecznych. Pomoc ta jest udzielaną w formie dożywiania, zapomóg pieniężnych, pomocy lekarskiej i odzieżowej.

K. O. S-y. dążąc do reproduktywizacji podopiecznych zorganizowały dotychczas 40 warsztatów pracy, oraz prowadzą 29 ośrodków rolnych, które dostarczają ziemiopłodów do placówek opiekuńczych. Ubiegłej zimy dożywiano w zorganizowanych przez KOS, na całym terenie Polski przeszło w tysiącu kuchniach ludowych.

Ten ogrom wysiłku i pracy był możliwy przy wielkim wysiłku społeczeństwa, pomocy zagranicznej i dużym zrozumieniem rządu.

Przed Komitetem Pomocy Zimowej staną tego roku większe zadania, potrzeby wzrosną, dlatego ofiarność społeczeństwa musi się uwielokrotnić.

Dużą nadzieję i wiarę pokładamy w ofiarność, włościaństwa, które napewno pośpieszy z pomocą w naturze, wzywane przez Premiera, Min. Rolnictwa i organizacje wiejskie.

Świat pracy jak zwykle złoży swoją daninę. Wierzymy, że w tym wysiłku nie zabraknie nikogo, że w marszu ku poprawie bytu najuboższych nie zabraknie niczyjej ofiary. Wysiłkiem zbiorowym rządu i społeczeństwa nakarmimy i ogrzejemy dzieci i nie pozwolimy cierpieć głodu tym, którzy z nie swojej winy nie mogą zapracować na utrzymanie siebie i swojej rodziny.

Pomoc ta musi dobrowolnie, bez przymusu nawet moralnego, a tylko na skutek zrozumienia — płynąć szeroką strugą od całego społeczeństwa i przy każdej okazji.

Niechaj zawołanie pomocy bliźniemu stanie się ogólne, niechaj głęboko wryje się w umysły, — serca czułe na nędzę ludzką niechaj mocniej zabiją

i kieszenie niech staną się jeszcze bardziej dostępne, a wówczas będziemy mogli powiedzieć, że spełniliśmy wszyscy dobrze obowiązek obywatelski wobec Państwa i Społeczeństwa.

J. Beluch-Beloński

„Prawo Człowieka"

Jesteśmy świadkami pojawienia się wśród szeregu nowych polskich czasopism jeszcze jednego, odmiennego od tylu innych — czasopisma, które postawiło sobie za cel, jak można wnioskować z osób wydawców i z zamieszczanych artykułów, uświadomienie człowiekowi jego człowieczeństwa w najbardziej pierwotnych objawach jego postępowania i zachowania się wobec innych jednostek. Jakkolwiek nigdzie nie ma wzmianki, jakoby pismo było wvdawane przez Ogólnopolską Ligę do Walki z Rasizmem, po zapoznaniu się ze wstępnym artykułem, zatytułowanym „Nasze wyznanie wiary" — nie ma co do tego wątpliwości. O tym, co sądzi Redakcja o wydawaniu takiego pisma, informuje nas jeden z autorów (artykuł „Refleksje aktualne") w słowach: „...pismo takie jest potrzebne i czas już najwyższy, aby rozpoczęło pełnić swą służbę". Zdaniem tegoż autora, „narody i jednostki tkwią w atmosferze przeszłości", ale ...„tym razem tradycja wywołuje następstwa jak najgorsze utrudnia zrozumienie tej prostej sprawy, że ludzkość nie jest fikcją, że jest organizmem zwartym", dalej znajdujemy wreszcie twierdzenie, że „postępowa myśl ludzka ...nie uznaje granic" podobnie „jak nauka i sztuka".

Jeśli notujemy powyższe słowa, to przede wszystkim dla tego, że uważamy za konieczne zapoznać naszych czytelników z samym faktem ukazania się pisma, które podjęło doprawdy syzyfowy trud przekonania społeczeństwa, ogarniętego pewnym przeświadczeniem, o jego niewłaściwości, — które zdecydowało się w tej tak drastycznej na polskim gruncie kwestii stanąć okoniem wpoprzek pewnych utartych szlaków odczuwania, a w pewnej mierze i myślenia.

Jeśli idzie o tematy, poruszane w „Prawie Człowieka", to podkreślić należy, że obracają się one przeważnie wokół tej odmiany rasizmu, jaka wyhodowała się i rozpleniła na okupacyjnej pożywce szczególnie bujnie w postaci antysemityzmu, przy czym podejście do problemu, według naszego osobistego poglądu, niezawsze jest najwłaściwsze, a to dla tego, że wypowiada się tam opinię o zjawisku z punktu widzenia zupełnie obcego kategorii, do której zjawisko należy. Krytyka antysemityzmu, jako odmiany rasizmu, z punktu widzenia antropologii, jako nauki o rasach, chybia celu, ponieważ rasizm w ogóle, a polski antysemityzm w szczególności, nie wywodzi się z naukowych przesłanek antropologicznych, ale wyłącznie społecznych, posługując się, i to tylko w ostatnich czasach — nagminnie płaszczykiem rasowości, dla lepszego jakby usprawiedliwienia w ten sposób swojego stanowiska. Antysemityzm polski jest zjawiskiem znacznie starszym niż rasizm, sięgający po środki naukowe dla wytłumaczenia ogółowi swego istnienia. Zewnętrzne żywiołowe objawy

antysemityzmu wyprzedzają znacznie hrabiego Gobineau i jego teorię, a zatem jego źródeł i przyczyn nie w tych teoriach należy szukać, lecz gdzie indziej i znacznie wcześniej. Konsekwentnie też walkę z rasizmem należy prowadzić, jak sądzimy, na innej drodze niż na wyjaśnianiu, że jest on bezpodstawny, ponieważ nie opiera się na przesłankach antropologicznych, jedynie uprawniających do dyskwalifikacji takiej czy innej rasy,— gdyż żaden rasista, a w każdym razie żaden polski rasista nie buduje swych rasistowskich przekonań na teoriach Gobineau, czy Chamberlaina, po prostu dla tego, że ich nie zna, a jeśli zna, to działa wyraźnie w złej wierze, świadomie wprowadzając ogół w błąd. Zna bowiem wówczas niewątpliwie i przesłanki antropologiczne.

Z powyżej napisanych słów wynika, że sądzimy, jakoby można było być rasistą w dobrej wierze. Istotnie, tak właśnie sądzimy, a sąd nasz opieramy na głęboko umotywowanym przeświadczeniu, że znajomość nauk społecznych, a socjologii zwłaszcza, jest wśród nas stosunkowo bardzo niewielka. A tylko socjologia, ustalająca pewne prawa, rządzące przemianami społecznymi i wzajemnymi stosunkami poszczególnych grup społecznych względem siebie, może tu dać pewne racjonalne wyjaśnienia, na których będzie można oprzeć właściwe wytyczne postępowania. Bez tych zasadniczych wiadomości można w najlepszej wierze popełniać najbardziej zasadnicze błędy w najszczerszym przekonaniu, że się postępuje słusznie.

Niezmiernie natomiast ciekawy jest artykuł pióra M. Arczyńskiego, obrazujący nam dzieje tzw. Akcji Żegoty, mającej na celu zorganizowanie pomocy ukrywającym się żydom, ułatwianie im przejścia na „aryjską stronę", zaopatrzenie w dokumenty itp. Artykuł powyższy unaocznia nam, jak wiele wysiłku i trudu ponosiła bezustannie Rada Pomocy Żydom, zorganizowana w ramach wspomnianej akcji, a przede wszystkim, ile samozaparcia i prawdziwego bohaterstwa na codzień wykazywali ci ludzie, którzy zdobyli się na to aby nietylko narażać się stale na śmierć (takich było więcej), ale by narażać się na śmierć w imię ideałów tak niepopularnych, jak ratowanie człowieka. Bądźmy szczerzy — mało kto dostrzegał wówczas tragedię człowieka — powszechnie widziano tam jedynie „likwidację Żydów", a tych, którzy tej likwidacji ośmielili się stanąć na przeszkodzie, w czambuł obdarzano nazwą żydowskich pachołków, lub w najlepszym razie, filosemitów. To, że w akcji brali udział ludzie, nawet z różnych względów nieprzychylnie nastawieni do Żydów, jako narodu, czy żydów, jako wyznawców obcych zasad etycznych, to, że ci ludzie widzieli w prześladowanych tylko człowieka potrzebującego pomocy, a nie przedstawiciela wrogiej naogół grupy — to wszystko przeważnej części naszego społeczeństwa nie mogło się pomieścić w głowie i nie może się pomieścić do dziś.

Bardzo się więc dobrze stało, że w mocnych słowach przypomniano te momenty działań konspiracyjnych, które miały co innego na celu, niż „likwidowanie" tych czy innych zbrodniczych jednostek — bo ratowanie człowieka. I dobrze się stało, że uwypuklono tu te właśnie strony problemu, które podkreślają odwagę i prawdziwie ludzki i niezaprzeczalnie chrześcijański punkt

widzenia tych, którzy potrafili odsunąć na bok osobiste nastawienie wówczas, gdy szło o zagrożone życie ludzkie.

I jeśli dajemy tak obszerne sprawozdanie z pierwszego numeru „Prawa Człowieka" w „Opiekunie Społecznym", to właśnie dla tego, aby ujawnić to charakterystyczne pokrewieństwo — bo i opiekun społeczny, już ten bez cudzysłowu pyta tylko o zakres potrzeby, a nie o zasługi — a w przypadku nagłym w ogóle o nic nie pyta, lecz na własną odpowiedzialność społeczną i ludzką natychmiast służy wszelką dostępną pomocą. Jasne jest więc, że opiekun społeczny zawsze i wszędzie dostrzegać będzie człowieka — a najmniejszą wagę przywiązywać będzie do takich, czy innych ukształtowań werbalnych.

Jakkolwiek, — podkreślamy to raz jeszcze — nie we wszytkich punktach zgadzamy się z ujęciem i podejściami, reprezentowanymi przez „Prawo Człowieka", uważamy, że dobrze się stało, że takie właśnie pismo zaczęło wychodzić, pozwala nam to bowiem żywić nadzieję, że po pewnych rewizjach i rozszerzeniu podstawy zainteresowań na ogólne problemy, związane z prawami człowieka (prawo kobiety, prawo człowieka pracy, ogólne prawa obywatelskie) — stać się ono może bardzo poważnym orężem w pokojowej walce o wyższy poziom naszego życia zbiorowego, o lepszy gatunek Człowieka w Polsce.

St. Z.

XVI Kurs Alkohologii pt. „Alkoholizm i jego zwalczanie"

odbędzie się w dniach od 25 listopada do 4 grudnia br. w Auli Państwowej Szkoły Higieny (ul. Chocimska 24, gmach Ministerstwa Zdrowia).

Wśród osób, którymi zajmuje się Opieka Społeczna, duży % stanowią bezpośrednie, lub pośrednie ofiary alkoholizmu: są to przede wszystkim rodziny alkoholików — ich żony i dzieci. Stan krańcowej nędzy materialnej, okropne warunki moralne egzystencji tych ludzi, są aż nadto dobrze znane doświadczonym działaczom Opieki Społecznej. Alkoholizm swym wpływem destrukcyjnym działa dalej i głębiej, przysparzając drogą dziedzicznego zwyrodnienia bliższego i dalszego potomstwa alkoholików długiego szeregu osobników, niezdolnych do samodzielnego życia, od przyjścia na świat, aż do śmierci, wymagających stałej opieki, jak idioci, kretyni, chorzy na wodogłowie itp. Do rzędu ofiar alkoholizmu swych ojców i matek, lub dalszych przodków, zaliczamy długi szereg jednostek z poważnymi defektami psychicznymi, aspołecznych, odznaczających się wrodzonymi wadami charakteru itp.

A same bezpośrednie ofiary alkoholizmu — alkoholicy chroniczni — jakżeż często bywają długoletnimi klientami Opieki Społecznej lub więzień!

Toteż słusznie mówił szwajcarski minister Skarbu, Musy w r. 1922: „Badania statystyczne, przeprowadzone w naszym kraju, potwierdzają fakt, że w Szwajcarii, tak jak i gdzie indziej, mapa umieralności pokrywa się z mapą alkoholizmu. W Szwajcarii, jak i gdzie indziej, alkoholizm niszczy ogniska

domowe. Alkoholizm zasila zakłady dla psychicznie chorych i więzienia — jest razem z gruźlicą wielkim dostawcą cmentarzy" [1]).

Dodajmy do tego wielki i nieulegający żadnej wątpliwości wpływ alkoholizmu na niezwykłe nasilenie chorób wenerycznych ze wszystkimi ich skutkami, aby dojść do przekonania, że alkoholizm jest jedną z największych przyczyn upadku fizycznego, moralnego i materialnego społeczeństwa, a więc Opieka Społeczna jest przede wszystkim zainteresowana w zwalczaniu alkoholizmu, a stale wzrastające potrzeby Opieki Społecznej stoją w ścisłym, przyczynowym związku z rozwojem alkoholizmu — zwłaszcza w obecnym powojennym okresie.

Dlatego też każdy działacz na polu Opieki Społecznej, zwłaszcza każdy Opiekun Społeczny powinien dokładnie znać zagadnienie alkoholizmu.

Do tego celu służą znakomicie Kursy Alkohologii, odbywające się co pewien czas w Państw. Szkole Higieny w Warszawie.

Na program Kursu najbliższego (XVI) złoży się 48 godzin wykładów, 3 godz. Seminarium Dyskusyjnego i wycieczka do Kliniki Psychiatr., gdzie podczas wykładu klinicznego odbędzie się demonstracja chorych na psychozy alkoholowe.

Tematy wykładów są następujące: Chemia alkoholu, działanie alkoholu na organizm, psychozy alkoholowe, lecznictwo alkoholików, zmiany w charakterze pod wpływem alkoholizmu, alkoholizm a choroby weneryczne, alkoholizm i gruźlica, alkoholizm i przestępczość, alkoholizm jako zagadnienie ekonomiczne, alkoholizm i dziecko, fazy rozwojowe dziecka i alkohol, alkoholizm i szkoła, alkoholizm jako zagadnienie społeczne, alkoholizm i wypadki nieszczęśliwe w komunikacji, ruch spółdzielczy i alkoholizm, alkoholizm i opieka nad matką i dzieckiem, udział kobiet w walce z alkoholizmem, organizacje robotnicze i alkoholizm, alkoholizm i wydajność pracy, wieś w walce z alkoholizmem, alkoholizm i sport, ustrój demokratyczny i walka z alkoholizmem, ośrodki zdrowia i walka z alkoholizmem, walka z alkoholizmem zagranicą i w Polsce, umiarkowanie czy absynencja, alkoholizm, jako zagadnienie społeczne i państwowe.

Wykladać będą m. in.: Henryk Świątkowski, Min. Sprawiedliwości, Dr. Vorbrodt, Prof. Dr. Wilczkowski, Dr. M. Kaczyński, Doc. Dreszer, Dyr. Dr. Uszkiewicz, Dr. Borkowski, kpt. Kobylecki, Prof. Klimowicz, Dyr. Łopatto, Radca Kryśko, Red. Kuczkowski, Dr. Minc, Red. Rubach, Dr. Śląski, Weychert-Szymanowska, Prof. Chodźko, Dyr. Kaczanowski, Prof. Kacprzak, Dr. Gosiewski, Red. Szymańska, Dr. Stypułkowski, Inż. Korczyński, Prof. Poletur, Prof. Ptaszycki, Red. Szymański.

Wykłady od godz. 9-ej do 15.30. Dla przyjezdnych bilet kolejowy powrotny — bezpłatnie.

Informacje: Sekretariat Kursu: Ministerstwo Zdrowia, ul. Chocimska 24, pokój 45, tel. 8-59-71, wewn. 33 (godz. 9 — 15). *J. S.*

---

[1]) Dr Witold Chodźko, Dyrektor Państw. Szkoły Higieny. „Walka z alkoholizmem w świetle doświadczeń z okresu wojny światowej". W-wa, 1933 r.

Nasze kontakty z Zagranicą pogłębiają się

Już w czasie składania numeru zostaliśmy poinformowani o nowych wydarzeniach, które dla prac opiekuńczych w Polsce posiadają niezmierną doniosłość. Jak gdyby w ślad za naszymi myślami, częściowo wypowiedzianymi w artykule pt. „Sigma Blanck w Warszawie" podobne myśli pojawiły się u naszych szwedzkich przyjaciół i oto w końcu września zawitał do Warszawy Prezydent Międzynarodowej Misji Pomocy Europie w Szwecji, Ekeberg. Początkowo nawiązanie kontaktu i zdobycie informacji o jego wrażeniach było raczej trudne i ograniczało się do wiadomości o szeregu objazdów i zwiedzań i o obietnicach. Osobiście pozwalaliśmy sobie żywić wątpliwości, czy takie szalone tempo pracy i udziału w niezwykłych uroczystościach (Prezydent Ekeberg został udekorowany Wielką Wstęgą Orderu Odrodzenia Polski) pozwoli naszemu gościowi na zorientowanie się w zakresie i rozmiarach naszych potrzeb.

Ku naszemu wielkiemu zadowoleniu nasze obawy okazały się przedwczesne — choć zapewne uzasadnione. Prezydent Ekeberg w kilka dni po swym pobycie w Warszawie przysłał do Polski specjalną delegatkę dla dokładnego zbadania sytuacji i przekazania mu odnośnego raportu. W wycieczce tej brała udział także, poza przedstawicielami Wydziału Opieki Społecznej i Redakcji „Opiekuna Społecznego" jeszcze jedna przedstawicielka „Misji Międzynarodowej", p. Lilia, jedna z nielicznych zapewne Szwedek, mówiących po polsku. Warunki mieszkania i nauki dzieci na Starówce wprawiają nasze rozmówczynie już nie w zdumienie, ale w osłupienie. Jakkolwiek mamy zamiar pokazać jeszcze wiele innych kuriozów życia naszych podopiecznych, dowiadujemy się, że „już nie trzeba". To, co pokazaliśmy na niewielkim odcinku Warszawy od Wisły, poprzez Powiśle, Krakowskie Przedmieście, Stare Miasto i getto — wystarczyło do opracowania najzupełniej wyczerpującego raportu. O wynikach napiszemy zaraz, jak tylko uzyskamy sami bliższe informacje, których nie oczekujemy jednak wcześniej, jak w końcu listopada, lub nawet początkach grudnia.

Jako jednak już konkretne osiągnięcie możemy zapowiedzieć bliskie utworzenie w Warszawie punktu sanitarno-odżywczego dla dzieci. Punkt posiadałby dwa działy: dla dzieci od 0 do lat 3 i drugi dla dzieci starszych. Bliższych szczegółów na razie jeszcze podać nie możemy.

Nie tylko jednak z Europy przybywają do Polski goście, interesujący się naszą opieką społeczną i naszymi potrzebami w tej dziedzinie. Niezależnie od znanej już każdemu organizacji UNRRA, której działalność zasadniczo kończy się w tym roku, w ramach prac Międzynarodowego Komitetu Koordynacyjnego Pomocy Dziecku przybyła do Polski delegacja państw Ameryki Łacińskiej. W skład Delegacji weszli przedstawiciele Argentyny, Paragwaju, Chile i Peru. Odwiedziny Delegacji nie ograniczyły się oczywiście jedynie do Warszawy — w chwili, gdy piszemy te słowa, nasi egzotyczni goście zwiedzają najbardziej potrzebujące pomocy tereny i skupiska ludz-

kie, zapoznając się z sytuacją głównie pod kątem potrzeb dziecka i możliwości udzielenia pomocy Dziecku Polskiemu przez odnośne placówki krajów macierzystych delegatów.

Spiritus movens tych niewątpliwie cennych dla nas odwiedzin, była, jak się dowiadujemy w ostatniej chwili, Dr. Janina Suchodolska, vicedyrektor Centralnego Komitetu Opieki Społecznej, przedstawicielka Polski do wspomnianego Komitetu Koordynacyjnego. Spodziewamy się, że już w najbliższym numerze „Opiekuna Społecznego" będziemy mogli przedstawić naszym czytelnikom bliższe szczegóły dotyczące wzmiankowanych akcji dzięki uprzejmości Dr. Suchodolskiej, która obiecała już swą stałą cenną współpracę z naszym pismem. Oczekujemy również szeregu informacji na temat współpracy polsko-szwajcarskiej, a ściślej — pomocy Szwajcarii dla polskich placówek opiekuńczych. Pomoc tę, jak dotychczas realizuje głównie organizacja „Don Suisse", której przedstawicielstwo w Polsce pozostaje pod kierownictwem p. Courvoisier. Pozostaje ona w stałym kontakcie z szeregiem instytucji społecznych polskich.

Niewątpliwie jednak ze wszystkich państw, organizujących pomoc dla Polski, najaktywniejszą okazała się Szwecja. Jak nas poinformował Prezydent Ekeberg, w szeregu krajów, których ludność korzysta z pomocy Szwecji, Polska znajduje się na pierwszym miejscu pod względem tak jakościowego, jak ilościowego zakresu otrzymywanej pomocy.

UNRRA się kończy — a co dalej?

Jak wiadomo, wszelkie wysiłki i próby przedłużenia działalności organizacji UNRRA w Europie poza rok 1946 nie odniosły skutku. Nie naszą rzeczą jest analizowanie przyczyn takiego postanowienia, notujemy jedynie fakt: w roku 1947 pomoc z UNRRA otrzymywać będą jedynie Chiny.

Obok notujemy fakty inne: w ostatnich dniach wypowiedział się osobiście na temat potrzeb Polski i konieczności dalszego udzielania nam pomocy przedstawiciel UNRRA na Polskę, gen. Drury. Stanowisko jego znane już nam jest od dawna — streszcza się ono w stwierdzeniu, że Polska musi dalej otrzymywać pomoc i że pomoc, jakiej Polsce dotychczas UNRRA udzieliła, pokryła zaledwie około 25% deficytu w zakresie zaopatrzenia potrzeb ludności Polski.

Naszym zdaniem, stwierdzenie to nie wymaga komentarzy. Cieszy nas jednak, że na równie apolityczne — nacechowane jedynie głęboką troską o człowieka — stanowisko zdobył się Szef Misji UNRRA, La Guardia. Wystosował on raport do Generalnego Sekretarza Organizacji Narodów Zjednoczonych, w którym bez ogródek przedstawił katastrofalną sytuację żywnościową krajów na wypadek nieotrzymania pomocy bezpośredniej przez zainteresowane kraje, lub dewiz na sfinansowanie importu żywności.

W dalszym ciągu swego raportu La Guardia zastanawia się nad konsekwencjami nieotrzymania przez kraje, którym grozi niedobór, pomocy zastępczej w miejsce UNRRA i przewiduje: albo natychmiastowy brak żywno-

ści i zwiększony brak odzieży oraz innych niezbędnych artykułów, albo też przedłużające się bezrobocie, zahamowane odrodzenie rolnictwa i produkcji przemysłowej z wszelkimi dalszymi konsekwencjami tego stanu. La Guardia mówi tu oględnie o depresji gospodarczej. My osobiście jesteśmy zdania, że jeśli idzie o Polskę, która dopiero organizuje swe życie gospodarcze — byłoby to już nie depresją, a katastrofą ekonomiczną. Nie wolno nam bowiem zapominać, że UNRRA zaopatruje nas w takie artykuły, których wytworzenie przy najintensywniejszym uruchamianiu przemysłu nie da się osiągnąć: idzie nam tu o pogłowie koni i bydła, a także o zaopatrzenie w surowce, których nie posiadamy (ryż, bawełna i in.).

Od skrajnego pesymizmu chroni jednak, poza wzmagającą się stale własną wytwórczością, stwierdzenie, że i na polu międzynarodowym akcja pomocy w żadnym razie zaniechana nie będzie. W drugiej połowie października zebrał się w Kopenhadze zjazd przedstawicieli 16 narodów dla opracowania planów stałej Światowej Rady Żywnościowej. Projekt planu opracował już przedstawiciel angielski, Boyd. Obrady konferencji przeciągną się prawdopodobnie do 2 miesięcy.

Polska, poza ogólnymi organizacjami, niejako oficjalnymi, ma prawo liczyć jednak jeszcze na dalszą pomoc, niejako indywidualną, poszczególnych krajów, które poprzez swe organizacje okazują Polsce wiele konkretnej pomocy. I tak z Polskim Czerwonym Krzyżem współpracują przez swe misje: Angielski CK, Amerykański CK, Duński CK, Holenderski CK, Szwajcarski CK, Szwedzki CK i Włoski CK. Należy sądzić, że już w tej chwili lista nasza jest niepełna. Z obcych organizacji współpracuje z nami znana duńska instytucja „Redda Barnet" — Ratujmy Dzieci, poza wspomnianymi już organizacjami szwedzkimi i szwajcarskim „Don Suisse". Jak twierdzi „Robotnik", miał bawić w Polsce również przedstawiciel amerykańskiej organizacji Kwakrów. Niestety, wspomniane pismo zainteresowało się jedynie uznaniem, jakie wyraził ów przedstawiciel, p. Webb, dla sprawności i uprzejmości naszych czynników administracyjnych oraz dla ogromu cierpień, jakie przeżywa miejscowa ludność — nie znaleźliśmy jednak żadnych bliższych danych o jakichś kontaktach z instytucjami opiekuńczymi, czy ewentualności udzielenia pomocy „cierpiącej ludności". Dziwi nas to tym bardziej że organizacja kwakrów ma być „jedną z najsympatyczniejszych organizacji filantropijnych w Ameryce".

Jak widzimy więc z powyższego zestawienia, które zapewne wkrótce będziemy mogli powiększyć o dalsze pozycje — nie jesteśmy osamotnieni, zwłaszcza, że co pewien czas otrzymujemy sporadyczne dary z różnych krajów, wśród których wybitne miejsce zajmuje ZSSR. Sytuacja zatem, jakkolwiek niewątpliwie ciężka, nie daje powodów ani do załamania, ani do zaprzestania planowego wysiłku odbudowy człowieka, która w pierwszym rzędzie zabezpieczy nam ten najcenniejszy dla nas materiał, jakim jest zdrowa fizycznie i intelektualnie jednostka ludzka.

B-14218. Druk. „AUTOMA", Warszawa, Wileńska 7.

W niedługim czasie ukaże się staraniem Tow. „Trzeźwość" z zasiłku Ministerstwa Zdrowia

„ANTOLOGIA PRZECIWALKOHOLOWA"

TREŚĆ:

Prof. Dr. Mieczysław Michałowicz: Przedmowa

Dyr. Br. Duchowicz: Chemia alkoholu

Prof. Dr. J. Hornowski: Działanie alkoholu na organizm ludzki

Prof. Dr. R. Radziwiłłowicz: Psychologia i psychopatologia alkoholizmu

Dr. T. Jaroszyński: Z psychologii alkoholizmu

Prof. Dr. P. Gantkowski: Pierwsze objawy osłabienia sprawności psychicznej

Prof. Dr. St. Pieńkowski: Alkoholizm jako zjawisko patologiczne

Prof. Dr. Leon Wacholtz: Alkoholizm i przestępczość

Doc. Dr. W. Łuniewski: Z kazuistyki sądowo-psychiatrycznej alkoholizmu

Doc. Dr. Gustaw Szulc: Alkoholizm w świetle współczesnej fizjologii

Dr. Czesław Wroczyński: Alkoholizm a gruźlica

Prof. Dr. W. Biechtieriew: Istota kwestii walki z alkoholizmem

Prof. Dr. St. Władyczko: Zagadnienie alkoholizmu.

PRACOWNIK STOLICY

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNO-SAMORZĄDOWYM i DOKSZTAŁCANIU KADR PRACOWNICZYCH

WYDAWCA:

ZARZĄD MIEJSKI m. st. WARSZAWY
WYDZIAŁ KADR PRACOWNICZYCH

WARUNKI PRENUMERATY:

miesięcznie	10 zł.	Cena numeru:	
kwartalnie	25 „	pojedyńczego	6 zł.
półrocznie	50 „		
rocznie	100 „	podwójnego	10 „

OGŁOSZENIA:

Cała strona zł. 2.000, pół strony zł. 1.000, 1/4 strony zł. 500
drobne ogłoszenia za wiersz milimetrowy 30 zł.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
WARSZAWA, RATUSZ — AL. JEROZOLIMSKIE 1
III PIĘTRO, POKÓJ 333